

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 15 lipca 1905 r. Nr. 29.

Katastrofa w kopalni węgla w Polskiej Ostrawie.

(Do artykułu na stronie 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Rewolucya w Rosyi: Zbuntowani rezerwiści podpalają wagon, w którym się znajdował wyższy oficer.

Od Administracyi.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na bieżący kwartał i o rozszerzanie naszego pisma. Każdy nowy abonent otrzyma bezpłatnie początek sensacyjnej powieści, osnutej na tle krwawych wypadków tegorocznych w Królestwie Polskiem, drukującej się w „Nowościach illustrowanych“, pt. „Bojownicy“. Powieść ta, której autorem jest jeden z najznakomitszych naszych powieściopisarzy, zmuszony jednak ukrywać się pod pseudonimem, odźwierciedla w nadzwyczaj barwny i zajmujący sposób epokową chwilę rewolucyi w Rosyi i Królestwie Polskiem.

Katastrofa w kopalni węgla.

Smutną jest dola robotnika polskiego, poddanego na obczyźnie pod rygor i samowolę wrogich imieniowi polskiemu pracodawców i dozorców. Nie ma on najmniejszej ochrony swoich praw człowieczych, poszanowania osobistej godności, a co najważniejsza, zabezpieczenia przed możliwemi nieszczęśliwemi wypadkami, będącymi wynikiem tak częstych — niestety! — katastrof w kopalniach i wielkich fabrykach. Niesumienni lub złej woli pracodawcy i przedsiębiorcy zagrożeni są wprawdzie ustawowo w razie lekceważenia życia robotnika — wielką odpowiedzialnością i surowemi karami. Mała to jednak pociecha dla tych, co życie położyli z ich winy — i dla rodzin, pozostałych po nich.

Straszną illustracyą lekceważenia życia robotników przez pracodawców jest katastrofa w kopalni w Polskiej Ostrawie, katastrofa, której straszne skutki przypisać należy jedynie karygodnej niedbałości zarządu. Dziewięć trupów i kilku walczacych ze śmiercią — oto krwawe żniwo śmierci w szybie Salmy!

Piętnastu ludzi naprawiało niedawno temu stary, rozpadający się pod naciskiem gazów mur, który odgranicza stare palenisko od nowego. Zarząd kopalni, zamiast postawić nowy mur, rozkazywał ustawicznie łatać i reparować stary. Piętnastu ludzi zajętych było tą pracą. W tem mur pęka, przez otwory wylatują gazy i setką długich, ognistych języków wpadają w krużganki, któremi właśnie z roboty powracali nasi robotnicy. Przewodnik ich, nie znając dokładnie terenu, poprowadził ich w ucieczce na dalsze drogi. Czterech doświadczeńszych rzuciło się najkrótszą drogą ku szybowi — i ci ocaleli. Resztę wydobyto po jakimś czasie na pół zwęglonych, nie żywych.

Było to w wigilię patrona górników, św. Prokopa. Dzień to uroczysty, obchodzony bywa festynami, serenadą kapel górniczych, ogniami sztucznemi etc. Właśnie nadciągały rankiem orkiestry górnicze do miasta, gdy po drodze doszła ich hiobowa wieść o śmierci towarzyszy. Umilkła muzyka i znikła wesołość, a wszyscy w niemej żałobie zbliżali się do miasta. Uroczystość św. Prokopa ograniczyła się tylko na kazaniu proboszcza z Michałkowic, który przemówił do górników po czesku i niemiecku. Jest to tem więcej oburzające, że proboszcz ów nie jest ani czechem, ani niemcem, mówi po polsku i do ludu polskiego powinien był, w takiej chwili przynajmniej, zdobyć się na przemówienie w ojczystym jego języku.

Rycina nasza przedstawia tę katastrofę.

Rewolucya w Rosyi.

Kiedy się czytało w dziennikach telegramy o wypadkach nad brzegami morza Czarnego, zdawało się nam, że granica między rzeczywistością a bajką znikła w naszych czasach zupełnie. Któryż bowiem poeta zdolen byłby wymyśleć rapsod bardziej fantastyczny? Palacz okrętowy stał się postrachem morza, groził carowi, traktował z urzędnikami państw sąsiednich, trzymał uwagę całego świata w niebywałem napięciu. Nawet ci, którzy do ostatka nie wierzyli w wewnętrzny rozkład Rosyi, zapytują dzisiaj, czy to naprawdę rozpada się gmach, zbudowany przez Piotra i ze smutkiem patrzą w przyszłość. A zajścia na morzu Czarnem, wypadek z „Potemkinem“ są najlepszym dowodem, że podstawy caratu rysują się, że zbliża się coraz szybciej koniec samowładztwa. Zbuntowany pancernik floty Czarnomorskiej „Kniaź Potemkin“ po dwutygodniowem błąkaniu po morzu Czarnem, uległ ostatecznie nieubłaganej konieczności i kapitulował. Ostatni akt przygód „Potemkina“ rozegrał się onegdaj w porcie rumuńskim w Konstancy.



Rewolucya w Rosyi: Adm. Czuchnin, komendant eskadry czarnomorskiej.

Wedle opowiadań przywódców buntowników w Konstancy, bunt marynarzy floty czarnomorskiej wybuchł przedwcześnie i dlatego się nie udał. Dowódca „Potemkina“ palacz Matuszenko w ten sposób streścił przyczyny i wybuch buntu:

„Zajścia na „Potemkinie“ nie były faktem wyjątkowym. Partya socyalistyczna kieruje oddawna agitacyą wśród marynarki, a załoga „Potemkina“ nie należała wcale do najbardziej uświadomionych.

Załoga „Potemkina“ liczyła na pewno na dwa inne okręty, na których propaganda socyalistyczna znacznie większe poczyniła postępy. To, że bunt wybuchnął najpierw na „Potemkinie“, to zrządził jedynie przypadek; powodem nadto była i ta okoliczność, że to był największy i najszybszy okręt wśród eskadry czarnomorskiej. Ilekroć odjeżdżał na ćwiczenia w strzelaniu — bywał zaopatrywany w amunicyę na sześć miesięcy. Jakkolwiek wśród załogi „Potemkina“ znajdowali się socyaliści, byli oni jednak w mniejszości. Że hasło do buntu dał ten okręt, było — jak już wspomniano — rzeczą przypadku. Mniejszość pragnęła zrobić raczej próbę, o ile propaganda socyalistyczna uzyskała grunt na „Potemkinie“.

Sytuacya na „Potemkinie“ przedstawiała się następująco: Z 700 do 800 marynarzy, 200 było bezwarunkowo zadecydowanych siebie i okręt poświęcić, 200 było niezdecydowanych, reszta obojętnych. Plan był następujący: Inny okręt, nie „Potemkin“, miał dać hasło całej flocie czarnomorskiej do powstania; wszystkie inne okręty miały się przyłączyć, ująć oficerów. rozbroić ich i wysadzić na ląd Właśnie w okresie przygotowawczym



Rewolucya w Rosyi: Pancernik „Kniaź Potemkin“.



Rewolucya w Rosyi: Admirał Krieger.

wybuchnął zwykły strejk z powodu złej żywności, a nietaktowne postępowanie najstarszego oficera Gilorońskiego, przyprowadziło załogę do rozpaczy. Zamordowanie Omelczuka wywołało znane zajścia. — Przez to został cały plan sprzysiężenia zniweczony, tak, że dziś całe przedsięwzięcie zakończyło się zupełnem fiaskiem.

Kiedy zaburzenia w Odessie wzmogły się, przybyła we środę rano eskadra pod wodzą admirała Kriegera. „Potemkin“ się cofnął, chcąc uniknąć starcia. Po południu flota Kriera ukazała się na nowo, ale znów odjechała, a do buntowników przyłączył się jeszcze jeden okręt „Pobiedonosec“. Pomiędzy „Potemkinem„ a „Pobiedonosecem“ nie przyszło jednakże do zgody, więc „Potemkin“ podniósł kotwicę i odpłynął z Odessy.

Postanowiono jednak podjąć próbę zrewoltowania całej floty; tymczasem jednak dawał się już uczuwać brak węgla, żywności i informacyj. „Potemkin“ popłynął więc do Konstancy. Tutaj jednak nie otrzymał ani żywności, ani żadnych informacyj. Majtkowie żyli tylko herbatą i sucharami. Widząc, że w Konstancy niema co robić, pojechaliśmy do Teodozyi.

We środę rano wjechał do portu Teodozyi „Potemkin“ z czerwoną flagą i napisem: „Wolność, równość, braterstwo! Niech żyje Demokracya!“ Deputacya majtków udała się do miasta, namawiając ludność i zarząd miasta, aby zaopatrzono okręt w żywność. Cztery woły, chleb i inne zapasy przewieziono łodziami na „Potemkin“. Urząd wojskowy jednak udaremnił dalszy dowóz środków spożywczych. „Potemkin“ zagroził miastu bombardowaniem, jeśli w przeciągu czterech godzin nie otrzyma żywności. Do godz. 7 rano nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Kiedy się zbliżyło potem kilku marynarzy w łodzi do brzegu, aby zabrać resztę żywności, zjawiły się nagle dwie sotnie kozaków i dały ognia. Zabito sześciu majtków.

„Potemkin“ powrócił do Konstancy, ponieważ doniesiono nam, że tam znajdują się dwa zbuntowane okręty. Chcieliśmy się z nimi połączyć, aby powrócić i w dalszym ciągu szerzyć powstanie. W Konstancy nie zastaliśmy oczekiwanych dwóch okrętów; daremnie wyczekiwaliśmy też na pomoc ze strony konsula angielskiego; nie mieliśmy wreszcie ani węgla, ani żywności. Załoga znużona i wyczerpana musiała się poddać...

Tak się skończył bunt marynarzy floty czarnomorskiej. Załoga „Potemkina“ oddała się w ręce władz rumuńskich, które ją traktują nie jako zbrodniarzy politycznych, ale jako dezerterów.

Tymczasem na całym obszarze państwa rosyjskiego wrzało, jak gdyby miał się odegrać ostatni akt rewolucyi. W każdem prawie większem mieście, w każdem centrum fabrycznem, ruszyły tłumy robotnicze na ulicę, na walkę na śmierć i życie z siepaczami carskiemi. I polała się krew robotnicza na ulicach Białegostoku, Rygi, Tyflisu, cały Kaukaz ogarnęły płomienie. Illustracye nasze przedstawiają niektóre krwawe epizody tych walk, a mianowicie, walkę tłumów z wojskiem za pomocą bomb w Białymstoku, rewolucyę w Tyflisie, oraz spalenie w Kursku w wagonie pociągu, mającego odejść na pole wojny do Mandżuryi, oficera. Przyczyną tej krwawej zemsty było złe obchodzenie tego oficera z rezerwistami, którzy się zbuntowali i przyprawili go o śmierć.

Na stacyi Kursk rozegrał się krwawy dramat, którego ofiarą padli oficer i żołnierz przejeżdżającego przez Kursk do Kijowa oddziału artyleryi. Oddział, złożony z 90 ludzi, jechał z Niższego Nowogrodu pod dowództwem podpułkownika i porucznika. Podczas zatrzymania się pociągu w Kursku, po drugim dwonku wszyscy szeregowcy z tego oddziału z wyjątkiem dwóch byli już na miejscu. Dwaj ostatni wyrażali niechęć do dalszej jazdy. Aby uniknąć możliwego wskutek tego opóźnienia odjazdu, porucznik w nieobecności dowódcy oddziału polecił żołnierzom związać nieposłusznych, a gdy się temu oparli, w rozdrażnieniu schwycił szablę i jednem uderzeniem położył żołnierza na miejscu.



Rewolucya w Rosyi: Hr. Ignatiew, wysłany do Odessy dla stłumienia rewolucyi.

Znajdujące się na dworcu tłumy publiczności otoczyły lokomotywę. Wagon, w którym się znajdował oficer, oblano naftą i podpalono. Wśród ruin spalonego wagonu znaleziono zwęglony trup oficera.

Na dworcu uformował się tłum blisko 3-tysięczny, który z krzykiem i groźbami rzucił się na pociąg. Maszynista chciał ruszyć pociąg, ale mu na to nie pozwolono, mnóstwo ludu otoczyło lokomotywę, a wielu położyło się na szynach. Pociągowi odejść nie pozwolono. W ten sposób odbywa się w Rosyi mobilizacya.

Podajemy również illustracyę, przedstawiającą zbuntowany pancernik „Kniaź Potemkin“, oraz głównych bohaterów krwawej represyi w Odessie, hr. Ignatiewa, admirała Kriegera i admirała Czuchnina, głównodowodzącego eskadrą czarnomorską.

Rewolucya w Rosyi: Walka tłumów z wojskiem na ulicach Tyflisu.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

7 (Ciąg dalszy).

— Bo mi są bliżsi — spojrzał mu w oczy. — bo pragnę wyzwolenia mego narodu.

Na te słowa zerwał się z miejsca Żalecki i zawołał z goryczą:

— Alboż my tego nie pragniemy? Nie dążymy do tego?... Nie od was pierwszych słyszę ten zarzut, rzucacie nam w oczy międzynarodowość, brak współczucia z własnym narodem! Tak mogą mówić ludzie złej wiary, ale nie wy! Naszem hasłem jest wolność świata, a więc i wolność naszego narodu, ale wolność prawdziwa, bez pozostałości kapilastycznej niewoli. I my mamy tam, w państwie cara naszych braci ze socyalnej demokracyi, oni tam pracują nad skruszeniem więzów..., i my tam również pójdziemy w tym celu. W imię braterstwa proletaryatu złączyliśmy się ze socyalną demokracyą rosyjską i wspólnemi siłami dążymy do wolności ludu roboczego? Rozumiecie?

Zbrojski skinął głową i po chwili rzekł:

— W tem właśnie różnica pomiędzy wami a narodowcami, różnica na waszą niekorzyść.

— A to ciekawe! — zaśmiał się Waldman — no, no, posłuchajmy filozofa.

— Naszemu narodowi odmówiono tam, w Rosyi, swobody wiary, przekonań, wolnego słowa. Wyrzucono język ze szkół, ze sądu, z administracyi, z publicznego życia. Zamiast prawa rządzi samowola wielkich, małych i najmniejszych satrapów. Jesteśmy wygnańcami i paryasami na własnej ziemi, we własnej ojczyźnie, a ten anioł straszliwy w równej mierze dusi wszystkich bez wyjątku, I oto przychodzicie wy do umęczonego narodu i mówicie robotnikom: pomożemy wam do wolności, ale wiedzcie, że sprawcą waszej niedoli jest nietylko rząd moskiewski, ale wszyscy inni Polacy, wszyscy, którzy cokolwiek swoją własnością nazywają. Dążycie do wzniecenia walki bratobójczej niewolników między sobą. Alboż wy wiecie, do czego zdolny jest człowiek, który ma skrępowane ręce i nogi, zakneblowane usta? Czy zaręczycie mi, że podniecony przez was robotnik, nie rzuci się najpierw na swych braci, również niewolników ucisku moskiewskiego... nie zapominajcie roku 1846! Waszą rolę spełniał tam wróg!

— Ach, jeśli tyle mieliście do powiedzenia — rzekł Żalecki — to nie wiele. Nie wierzę żadnym prorokom, a więc i wam... A wasi narodowcy chcą oddać lud pracujący w dalszą niewolę kapitalistów... zamieniał stryjek za siekierkę kijek!

— Znów przemawia przez was jednostronność, kolego Żalecki. Oni mówią narodowi: zrzućmy wspólnemi siłami jarzmo niewoli moskiewskiej, rozmówmy się wolni i swobodni, może dojdziemy do zgody; ale dziś nie pora na wzajemną walkę, wpierw wolność, a potem ustrój społeczny taki, czy owaki...

Doliny i miasto ogarniał gęsty zmrok, kładły się grube cienie, tylko szczyty wzgórz i wieże kościelne łowiły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Wracali przez las w milczeniu, tylko Fanny Baumritt, od czasu do czasu pośliznąwszy się, krzyknęła, a Edmund bardzo chętnie pospieszał z pomocą.

Gdy wyszli na równinę, księżyc pokazał się z za gór. Olga postarała się o zbliżenie do Zbrojskiego i rozmawiając z nim, spytała pół-żartem:

— Jak sądzicie, kolego, czy poza murem kapitalizmu, znajdzie się nowy mur, odgradzający od szczęścia?

— Jestem o tem najmocniej przekonany.

— A jaki będzie? — i widząc wahanie, nalegała: — powiedzcie, jaki?

— Nie wiem... mam tylko niejasne domysły... coś z marzeń...

— Proszę was...

— Może.. ale to wielkie i szerokie może... jednostka, indywidualność wypowie walkę strychulcowi pracy.

— Dziękuję... Daliście mi, kolego, bogaty temat do rozmyślań... jeszcze raz dziękuję.

V.

Pani Wojtyrska, mówiąc ojcu Olgi, że kółko ich znajomych jest nieliczne, nie minęła się z prawdą.

Jako żona dyrektora filii banku, przestrzegała pilnie, aby nie obniżać swej godności, czy to, wchodząc w stosunki znajomości z niższymi stanowiskiem, czy też bywając u równych lub wyższych, kierowała się pod tym względem zasadą, chętnie i często powtarzaną: gdzie cię widzą radzi, bywaj rzadko, a gdzie chłodno, wcale nie bywaj.

Z powodu pobytu Olgi odnowiła trochę zaniedbane po zamążpójściu córki znajomości i namówiła Olgę do towarzyszenia jej w tych wizytach.

Kółko to składało się z ludzi zamożnych, wyższych urzędników, naczelników różnych instytucyi, a jeśli znalazła się w tem towarzystwie młodzież, to panny na wydaniu były dobrze ułożone i wychowane, a każdy z młodzieńców miał, jeśli już nie pozycyę popłatną, to wysoką protekcyę, zapewniającą mu niechybne powodzenie i stanowisko.

Wogóle pani Wojtyrska, ze względu na Olgę, unikała znajomości z młodzieżą, której przyszłość nie była jasną i wyraźną, gdyż nigdy nie można ręczyć, czy pomiędzy młodymi nie buchnie płomień, mogący zniszczyć rozsądne plany starszych i doświadczeńszych osób.

Olga, wiedziona ciekawością, była na kilku zebraniach, ale wkrótce poznała, że to towarzystwo biurokratyczno-finansowe jest tak samo nudne i usypiające, jak znajomości jej ojca.

Wielkiem zmartwienien i niepokojem nabawiło panią Wojtyrską wstąpienie Olgi na uniwersytet, lecz gdy sam ojciec uznał stosowność kroku Olgi, uspokoiła się, a pociechą niemałą było też to, że Olga dziewiętnastoletnia, z natury skryta i zimna, nie może się zająć rówieśnikiem kolegą, co nie przedstawiałoby żadnych widoków na przyszłość.

Olga, broniąc się przed nudami i bezcelowością życia, ulegając wspomnieniom petersburskim, rzuciła się z zapałem w objęcia partyi socyalno-demokratycznej.

Z gorączkowym pośpiechem przeczytała niemal wszystkie broszury swej partyi i tym sposobem zdobyła cały zasób frazesów o wyzysku robotników, o zgniliźnie stosunków dzisiejszych i o szczęściu bezmiernem, gdy klasa robotnicza urządzi świat według swej recepty.

Ze wskazówek Żaleckiego i z otrzymanego adresu skorzystała skwapliwie. Dowiedziawszy się, że tę panią może zastać tylko wieczorem, poszła pełna różowych nadziei pracowania celowego dla partyi, jednak z pewnym niepokojem w sercu.

Schody w oficynie, wiodące na trzecie piętro, były oślizłe z brudu, przepełnione zaduchem kuchennym. Mało zważała na to, pochłonięta myślą ujrzenia bojowniczki wyzwolenia robotnic z ucisku.

Na odgłos chrapliwego dzwonka otworzyły się drzwi i niska, szczupła kobieta spytała o powód wizyty.

— Czy zastałam pannę Szelską?

— Ja nią jestem... czego pani sobie życzy?

— W sprawie prywatnej — odpowiedziała Olga z wahaniem, a widząc, że jej nie zaprasza, dodała — w sprawie partyi.

Szelska obejrzała się i cofając się w głąb ciemnego przedpokoiku:

— Proszę do mojej stancyi — otworzyła boczne drzwi.

W tej chwili uchyliły się inne drzwi, wyjrzała twarz starszej kobiety i rzuciła pytanie:

— Czy może to kto do nas?

— Nie, proszę pani, to moja znajoma — odpowiedziała dość szorstko.

Olga weszła do małego pokoiku, dusznego, mimo otwartego okienka. Na stole, oświetlonym lampą, leżał stos kajetów, a z boku książki.

Gospodyni mieszkania wskazała krzesło, sama usiadła przy stole i zwracając do gościa swą twarz niemłodą, z wyrazem uporu w zaciśniętych ustach, spytała grzeczniejszym tonem:

— Czem mogę pani służyć?

— Pragnę zaznajomić się z robotnicami... i pan Żalecki wskazał mi adres pani.

— Towarzysz Żalecki... on dał mój adres? To było nieostrożnie z jego strony, albo ufa bardzo pani — obejrzała ją od stóp do głowy i na zwiędłą jej twarz wystąpił uśmiech zagadkowy.

Pod tem spojrzeniem, wbrew woli, zarumieniła się Olga i po chwili rzekła:

— Czy wie pani, kto jestem? — a na przeczący znak Olgi, mówiła dalej. — Jestem nauczycielką... zależną od dyrektorki, inspektora i całego szeregu dygnitarzy — uśmiechnęła się złośliwie. — Gdyby ktokolwiek z moich przełożonych, a nawet znajomych, jak ta pani, od której odnajmuję tę marną izbę, dowiedział się, że ja mam coś wspólnego z partyą, nie mówię już o agitacyi, tracę chleb bez ratunku i odwołania. Teraz zrozumie pani moje zdziwienie, iż towarzysz Żalecki powiedział mój adres, jak również i to, aby pani zapomniała moje nazwisko i adres. Partya jest partyą, a chleb chlebem — kończyła zgryźliwie.

Olga pod pierwszem wrażeniem tych słów miała ochotę wyjść, ale chęć dowiedzenia się wzięła górę.

— Przyrzekam pani, że, wyszedłszy, zapomnę

jej nazwiska i adresu... A teraz, czy pani może mi ułatwić?

Szelska spojrzała bacznie na swego gościa i po chwili spytała:

— Pani dawno w partyi?

— Kilka tygodni — a widząc jej uśmiech lekceważący — ale w Petersburgu zajmowałam się robotą.

— A tak... to co innego. Otóż, wiedzcie, towarzyszko... bo zgodzicie się na opuszczenie głupiej, burżuazyjnej formy... że wśród robotnic mam już pewną grupę... ale tych ja sama uświadamiam i wśród nich wasza praca zbyteczna.

— Rozumiem — szepnęła Olga.

— Mogę wam dać, towarzyszko, wskazówki pewne, jaką drogą zawrzecie z niemi znajomość. Jeśli macie trochę pieniędzy na wyrzucenie, idźcie do magazynu sukien i ubrań damskich — wymieniła nazwisko i adres — każcie sobie zrobić suknię... trzeba ją kilkakrotnie przymierzać, poprawiać... my, kobiety, potrafimy to — uśmiechnęła się — a wówczas znajomość łatwa, jedna ściąga drugą. Nie potrzebujecie, towarzyszko, jak ja — westchnęła głęboko — wystawać przed magazynami, szwalniami, łapać znajomość z niemi na ulicy.

— Dziękuję wam za wskazówkę... usłucham.

— A nie zabierajcie się, towarzyszko, do krawczyń, staniczarek, które są lepiej płatne, ale do biedot... te was łatwiej usłuchają.

— Dobrze, towarzyszko... Nie chcę zabierać wam czasu, widzę, że macie dużo do roboty — wskazała oczyma na leżące kajety, wstając z krzesła.

— O, pracy mi nie zabraknie, — powiedziała z goryczą — cały dzień w kieracie i wyobraźcie sobie, że muszę wpajać tym dziewczynkom tę podłą zasadę: módl się i pracuj! Uczucie pokory i poddania się, gdy inni będą je wyzyskiwać.

— Tak... przykre — rzekła Olga — aby coś powiedzieć.

— Patrząc, jak te burżuazki stroją się, bawią, romansują, opanowuje mnie chęć zaprządz je chociażby na kilka dni do mojej pracy, poznałyby wówczas całą słodycz słów: módl się i pracuj! — zaśmiała się zgryźliwie. A wy, towarzyszko, czem się zajmujecie?

— Jestem studentką na uniwersytecie.

Znów zmierzyła ją oczyma i spytała:

— Dla nauki, czy zabawy?

— Dla nauki — zarumieniła się i poczęła żegnać towarzyszkę.

— Nie zapominajcie o przyrzeczeniu — upomniała nauczycielka na odchodnem — nie znacie mnie ani mego adresu.

— Pamiętam, — a wyszedłszy na klatkę schodową odetchnęła z ulgą. Pierwsze poznanie towarzyszki wywołało wrażenie niesmaku. Lecz gdy przypomniała sobie, że towarzyszka i ona należą do tej samej partyi postarała się usilnie o rozbudzenie w sobie uczucia sympatyi dla nauczycielki, i tak wmawiała w siebie współczucie i przyjaźń, że dochodząc do swego mieszkania widziała w niej energiczną i poświęcającą się bojowniczkę idei, a zarazem ofiarę przymusu i wyzysku ustroju kapitalistycznego.

Mimo starań, przy zamawianiu sukni, przymierzaniu, nie miała Olga sposobności rozmówienia się z robotnicami, dopiero przy odniesieniu sukni, gdy zażądała, aby przyniosła jej taka, którąby w danym razie umiała zrobić żądaną poprawkę, znalazła się sam na sam z młodą szatynką, ubogo, ale czysto ubraną.

— Proszę... niech pani usiądzie — zapraszała dziewczynę, gdy ta złożyła suknię na szezlongu.

— Dziękuję — powiedziała, tłumiąc w sobie zdziwienie — może wpierw zechce pani przymierzyć.

— O, to niepotrzebne, — uśmiechnęła się Olga siadając na foteliku — siadaj pani — wskazała drugi fotelik — porozmawiamy.

Dziewczyna wpatrzyła się badawczo w Olgę, a w oczach ciemnych łatwo było wyczytać pytanie: czego ona chce? po co zaprosiny? I dopiero po dobrej chwili siadła na brzeżku krzesła i szepnęła z pokorną miną:

— Słucham panią.

— Pani dawno w pracowni?

— Trzeci rok.

— O, to dosyć dawno, zapewne miała pani z piętnaście lat.

— Tak jest... zaczynałam piętnasty.

— I ile pani zarabia miesięcznie?

— Osiem koron.

— Czy to możliwe!? — zawołała Olga ze szczerem zdziwieniem — tak mało?! A jakiż stół?

— Ja stołuję się u rodziców... a znów osiem koron nie jest ostatnią płacą — mówiła, chcąc dać o sobie korzystniejsze wyobrażenie — są takie u nas, które biorą cztery korony, a nawet mniej.

— I jak może to pani wystarczyć? — pytała zdumiona.

— Życie mam u rodziców, szyję sama sobie, a z pensyi kupuję co mi potrzeba.

— Ależ to okropny wyzysk pracy! Przecież za robotę tej sukni bez dodatków, zapłaciłam trzydzieści sześć koron. Gdyby nawet trzy z pań robiły przez dwa dni tę suknię, to jak wielki zysk ciągnie z pań krawcowa?

— Płaci się za fason proszę pani... przytem nasza pani jest wzięta... musi opłacić mieszkanie, podatki i inne rzeczy. Jak się jedno z drugiem policzy, to ona tak dużo nie zarabia — mówiła nie tak szczerze, jak raczej przez ostrożność, a nawet żałowała, że dała się wciągnąć w taką rozmowę, bo jeśli to doniesie się do krawcowej!?

— A ile pań pracuje u tej krawcowej?

— Nas jest dziesięć i dwie praktykantki... a może pani przymierzy suknię, bo mnie się spieszy — wstała z fotelika — a czas się liczy.

— Jakto?... liczy się?



Dziewczyna wpatrzyła się badawczo w Olgę, a w oczach ciemnych łatwo było wyczytać: pytanie: czego ona chce? po co zaprosiny?

— Tak, proszę pani... bo przecież która z nas mogłaby pójść ze suknią i pół dnia zmarnować.

— Już ja pani wynagrodzę—uśmiechnęła się— siadaj pani. A ile też godzin pracują panie?

— Jesteśmy umówione na dziesięć godzin, od ósmej rano do ósmej wieczorem z dwugodzinną przerwą na obiad... ale jak trzeba, siedzimy dłużej.

— I naturalnie krawcowa dopłaca.

— Dopłaca?! — zaśmiała się cicho. — Po sprawiedliwości powinnaby, ale ona nie dopłaca, chyba, że do bardzo późna pracujemy, to dostajemy kolacyę, a właściwie herbatę z chlebem.

— I panie to znosicie — zawołała oburzona — ależ zmówiłabym się z koleżankami i opuściłybyśmy wszystkie jednego dnia tę krawcowę.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, teraz nic już nie rozumiała, czego chce od niej ta elegancka panna, mieszkająca tak ładnie, krewna dyrektora banku. Czy ona kpi? czy żartuje? czy też dopytuje się w jakichś szkodliwych zamiarach? Nic już jej nie odpowie, niech się gniewa, niech skarży się, allbo co innego niech zrobi. To nieczysta sprawa.

Wstała i ukłoniwszy się grzecznie:

— Muszę już iść.

— Czego pani się tak spieszy?... Pani zarabia dziennie dwadzieścia sześć halerzy...

— O, więcej, bo święta się nie liczą.

— A więc trzydzieści halerzy — uśmiechnęła się — a ja zapłacę koronę... siadaj pani.

— Nie... wolę już iść.

— Ale dlaczego? — spytała Olga zdziwiona.

— Dlaczego? — spojrzała badawczo i znać egzamin wypadł korzystnie, bo po chwili mówiła z wahaniem — pani tak się dopytuje... tak jakby pani chciała sama założyć magazyn, a to przecież niemożliwe.

— Nie, nie chcę mieć magazynu — zaśmiała się Olga — interesuje mnie los robotnic, dlatego się pytam.

— To tak sobie... z ciekawości? — wątpiła dziewczyna.

— No, niezupełnie... chciałabym pomódz, poradzić... bo jesteście bardzo wyzyskiwane przez pracodawczynię.

— Ja się nie skarżę... a ile dziewcząt z naszej klasy ma się gorzej... A jak pani chciałaby nam pomódz? — spytała zaciekawiona.

— Jak?... hm... są różne sposoby, aby was uchronić od wyzysku.. a gdyby tak urządzić zmowę?

— My!?... Zmowę?! — zaśmiała się głośno — ależ każdej jest chleb i zarobek miły. Niechby tylko porzuciły — mówiła wesoło — na każde miejsce znalazłoby się dziesięć innych. O nie, to nie jest dobry sposób.

— A jednak innym udają się takie zmowy.

— Słyszałam i ja o tem, mówili mi o tem, ale to nie w naszym fachu... Idę już!

— Zaraz... możebym znalazła inne jeszcze sposoby pomocy... tylko trzeba nam się zejść wspólnie, rozgadać... Co pani robi wieczorami?

— Przychodzę taka zmęczona do domu, że jak tylko legnę, to zasypiam... człowiek musi przecież odpocząć... Tylko w święta i w niedziele mam trochę czasu wolnego.

— A więc zejdźmy się w najbliższą niedzielę... dobrze?

— Hm... nie wiem... może pójdę gdzie z wizytą z rodzicami...

— A ma pani przyjaciółkę?

— Mam.

— To może z nią pani przyjdzie... a może jeszcze kilka zechce przyjść.

— Ale po co, proszę pani?

— Pogadamy o sposobach pomocy, coś uradzimy wspólnie.

— Ale... one są biedne jak i ja, a i najbogatszy człowiek nie jest w stanie pomódz wszystkim... to i po co przychodzić?

— Tam, gdzie jeden nic nie zrobi, tysiące dopną celu... Dobrze? przyjdzie pani?

— A jeśli pani chce tak koniecznie i prosi, to już przyjdę z moją przyjaciółką, może się zabawimy.

— Naturalnie... będzie herbata, ciastka...

— Ee... ja nie jestem łakoma na jedzenie, mam rodziców... Ale tak pogadać, pośmiać się... tylko w głowę zachodzę, na co pani ten kłopot...

— Jak się zobaczymy, to wytłómaczę.

— Czy tu mamy się zejść?

Tego pytania nie zadawała sobie Olga, tak odległym wydał się jej termin zebrania. Najdogodniej byłoby tu przyjąć, ale czy zgodzi się stryjenka? Zaraz podsłucha, domyśli się, i nauki, i przestrogi, i listy do ojca... ale gdzie naznaczyć schadzkę? Nie można przecież w publicznem miejscu, a więc gdzie? Już ona znajdzie, a tymczasem trzeba odwlec stanowczą odpowiedź.

— Tu, u krewnych, nie byłoby nam swobodnie... wyszukam miejsce, a jaki pani adres? Napiszę jutro.

Ciąg dalszy nastąpi.



40-letni jubileusz straży pożarnej w Tarnowie: Franciszek Łazarski, założyciel a obecnie wiceprezes straży pożarnej w Tarnowie.

40-letni jubileusz straży pożarnej w Tarnowie.

W poprzednim numerze podaliśmy fotografię grupy członków straży ochotniczej tarnowskiej oraz artykulik o straży, która w ubiegłym miesiącu obchodziła uroczyście 40-lecie swego istnienia. Dzisiaj podajemy jeszcze w tej sprawie kilka szczegółów.

Założycielem straży pożarnej ochotniczej w Tarnowie jest p. Franciszek Łazarski, piastujący obecnie godność wiceprezesa straży. P. Łazarski to osobistość w Tarnowie powszechnie znana i należytym otaczana szacunkiem. Krwawy rok 1863 widział p. Łazarskiego w szeregach polskich powstańców; po nieudałej próbie powstania osiadł p. Łazarski w Tarnowie i oddał się całą duszą pracy około dobra publicznego. Założył, jak wyżej wspomnieliśmy, straż pożarną ochotniczą, a niema w Tarnowie żadnego stowarzyszenia dobroczynnego, któregoby nie był członkiem i nie wspierał hojnymi datkami.

Prezesem straży jest obecnie dr. Stanisław Stojałowski. Znany i ceniony adwokat, któremu obywatele powierzyli mandat do Rady Państwa, dokłada wszelkich starań, aby straż tarnowską zazaopatrzyć jak najlepiej w rekwizyta pożarne, zorganizować i wyćwiczyć tak, żeby w razie niebezpieczeństwa ognia mogła nieść skuteczną pomoc zagrożonym mieszkańcom.

Naczelnik straży, p. Mikołaj Jamrowicz, piastuje godność naczelnika od lat 20. Jemu to zawdzięcza straż tarnowska, że pod względem sprawności i dzielności mało ma sobie równych.

Podajemy obok fotografie wyżej wspomnianych panów, którzy najwięcej się zasłużyli w pracy około rozwoju straży pożarnej ochotniczej w Tarnowie.



40-letni jubileusz straży pożarnej w Tarnowie: Dr. Stanisław Stojałowski, adwokat, poseł do Rady państwa i prezes straży pożarnej ochotniczej w Tarnowie.

Wycieczka młodzieży szkolnej z Białej w Krakowie.

Starodawny gród Kraka zasługuje w zupełności na nazwę polskich Aten. Tak, jak w starożytności Ateny były wspólnem ogniskiem wszystkich Greków, główną ostoją, która w serca zwątpione wlewała nowy zasób sił, tak samo w serca Polaków, których pod trzy jarzma zakuto, wstępuje nowa otucha na widok Wawelu, tego prawdziwego serca Polski, tych starodawnych, zębem czasu poszarpanych gmachów i pomników, kościołów, do których ojcowie nasi uciekali się z pełną ufnością i wiarą. Kraków zadanie swe spełnia bardzo dobrze, bo w murach jego goszczą ustawicznie mili nam przybysze.

Niedawno przybyła do nas wycieczka dziatwy szkolnej z Leszczyn i z Białej, urządzona staraniem osób, rozumiących, że zwiedzanie pamiątek tak drogich sercu każdego Polaka, przyczynić się musi ogromnie do ścieśnienia węzła, jaki łączy poszarpane nasze ziemie.

Towarzystwo Szkoły ludowej, tak czynne na każdem polu, rozwinęło i teraz swą dobroczynną działalność dokładając wszelkich starań, aby dziatwa szkolna z wycieczki tej odniosła jak największej korzyści i zachowała miłe wspomnienia.

Po odbytym popisie zwiedzała młodzież, podzielona na grupy, kolejno zabytki Krakowa: Wawel, kościoły: Najśw. Panny Maryi, Dominikanów, Franciszkanów, muzeum Czartoryskich, była też na kopcu Kościuszki. Do zgromadzonej dziatwy przemawiali dr. Gertler i pani Strokowa, podnosząc zasługi nauczycieli i innych osób, którzy nie szczędzili kosztów i trudów, byle tylko dziatwa kresowa, ktorej na każdym kroku grozi wynarodowienie, zobaczyła zabytki Krakowego grodu. Wycieczka tych dzieci, które w szkole założonej przez Tow. „Szkoły lud.“ uczą się mowy ojców, uczą się być Polakami, czuć i myśleć po polsku, będzie z pewnością dla tych maluczkich źródłem ożywczem siły w chwilach zwątpienia i niemocy, tak często w naszych trudnych warunkach przychodzących.

W uzupełnieniu artykułu podajemy grupę dzieci bialskich, zebraną w parku dra Jordana.

Dyrektor kolei Ludwik Wierzbicki.

Radca dworu Ludwik Wierzbicki, stojący na czele lwowskiej Dyrekcyi kolejowej, ma ustąpić z tego stanowiska już w tych dniach i przenieść

Wycieczka młodzieży szkolnej z Białej w Krakowie: Młodzież ze szkoły polskiej Tow. „Szkoły ludowej“ w Białej i Leszczynach, zebrana po popisie w Parku dra Jordana.



40-letni jubileusz straży pożarnej w Tarnowie:
Naczelnik straży p. Mikołaj Jamrowicz.

się z powodu złego stanu zdrowia w stan spoczynku.

Na emeryturę mógł już dyr. Wierzbicki pójść przed kilku laty, nie chciał jednak przestać pracować, jak długo siły starczyły.

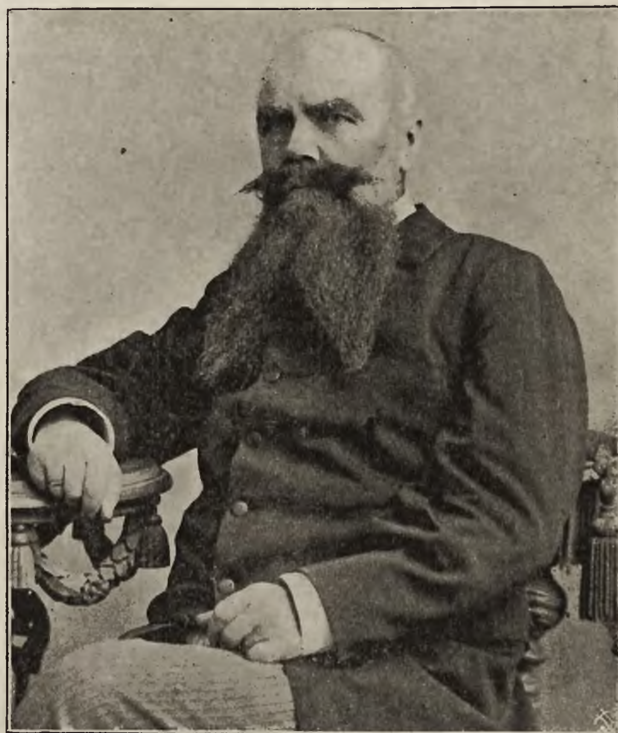
Karyerę swoją rozpoczął dyr. Wierzbicki jako profesor politechniki, poczem przeniósł się do generalnej dyrekcyi kolejowej (później zamienioną w ministerstwo kolei), gdzie piastował urząd szefa departamentu. Stąd powołano go na stanowisko dyrektora do nowoutworzonej dyrekcyi kolejowej w Stanisławowie, którą—rzec można—dyr. Wierzbicki zorganizował. Jest to z trzech dyrekcyj galicyjskich największa. Po kilku latach obejmuje kierownictwo dyrekcyi lwowskiej, gdzie pozostaje po dziś dzień.

Koleje galicyjskie zawdzięczają mu bardzo wiele. Liczne rozgałęzienia sieci kolejowej znalazły w nim skuteczne poparcie, że tylko wymienimy linię tak bardzo uczęszczaną jak Stanisławów-Keresmözö.

Lwów zawdzięcza mu nowy, wspaniały dworzec kolejowy, może jedyny w Galicyi, który przypomina Europę.

Dyr. Wierzbicki znany jest też w wielu instytucyach humanitarnych, gdzie bierze bardzo czynny udział w dziele miłosierdzia. Opiekuje się gorliwie dziatwą kolejową, którą wysyła rok rocznie do kolonij wakacyjnych.

Podajemy obok podobiznę dyr. Widrzbickiego.



Dyrektor kolei Ludwik Wierzbicki.

10-letni jubileusz straży pożarnej ochotniczej w Ustroniu.

Straż pożarna, jak to już kilkakrotnie mieliśmy sposobność zaznaczyć, jest jedną z najpotrzebniejszych instytucyi, zwłaszcza po wsiach i miasteczkach, zabudowanych przeważnie drewnianymi domostwami, gdzie zatem niebezpieczeństwo ognia prawie nie ustaje i wymaga ciągłego pogotowia i bacznej czujności powołanych ku temu organów.

Wzorem dobrze zorganizowanej straży pożarnej pożarnej ochotniczej na wsi jest straż w Ustroniu, na Śląsku. Ustroń — to wieś wcale ładna i w prawdziwem położona ustroniu. Naokoło otaczają ją góry, bujnymi pokryte lasami, a pięknemu krajobrazowi dodaje uroku Wisła, przepływająca przez tę wieś.

Straż pożarną założono w Ustroniu w r. 1895. Założycielami byli: śp. Juliusz Kleinpeter, Andrzej Broda, burmistrz, kierownik szkoły, Karol Gajdzica i kupiec Adolf Dattner. Straż składa się z 32 członków, których przeważną część stanowią robotnicy z fabryki maszyn. Dyrektor fabryki, p. Hocheizel, dokłada wszelkich starań, aby straż utrzymać w jak największym porządku. To też członkowie straży, chociaż zmęczeni całodzienną pracą, w razie niecezpieczeństwa z energią i ochotą, nie zważając na różnice narodowościowe lub religijne, spieszą, aby bronić zagrożonego mienia i życia bliźnich.

W ubiegłym miesiącu obchodziła straż w Ustroniu uroczyście 10-letni jubileusz swego istnienia. W uroczystem nabożeństwie, które się odbyło w kościele katolickim, wzięły, oprócz straży, udział: stowarzyszenie weteranów, śpiewackie „Lutnia“, oraz straż ochotnicza z Wisły pod komendą p. Bogdana Hoffa.

W numerze dzisiejszym podajemy zbiorową fotografię straży pożarnej w Ustroniu oraz przybyłych na uroczystość jubileuszową gości, zebranych po nabożeństwie przed strażnicą.

Z Delatyna do Worochty.

Kraj nasz, aczkolwiek ludność jego jest ciemna, nieoświecona i przez to bardzo nieraz biedna, ma jednak w sobie urok i czar niepospolity. Obfituje bowiem w przepyszne krajobrazy, w miejscowości tak piękne, a przytem tak nasze, że serce rośnie, kiedy na nie patrzymy. Takich łąk barwnych, takich dolin zielonych, takich lasów szumiących, pełnych zapachu żywicy, nie znajdziesz chyba dużo na świecie. Trzeba je atoli poznać i pokochać; my zaś, niestety, mało je znamy, za mało je kochamy.

Jedną z najpiękniejszych okolic naszego kraju jest niewątpliwie dolina Prutu, na przestrzeni od Delatyna do Worochty, z miejscowościami klimatycznemi na niej rozrzuconemi, Delatynem, Dorą Jaremczem, Jamną, Mikuliczynem, Tatarowem, Ja



10-letni jubileusz straży pożarnej ochotniczej w Ustroniu: Straż w otoczeniu zebranych na uroczystości mieszkańców Ustronia.



Nowe prezydyum miasta Lwowa: Michał Michalski, nowy prezydent miasta Lwowa.

błonicą i Worochtą. Przed laty dziesięciu mało kto je znał. Dopiero od czasu wybudowania kolei ze Stanisławowa do Woronienki, odkryły się te śliczności, niby twarz pięknej kobiety z poza kryjącego ją welonu.

Przejdziemy z Tobą, czytelniku, ten kawał kraju i pokażemy Ci szereg obrazków z tych malowniczych okolic, idąc za pełnem słuszności hasłem: „Cudze znać rzecz chwalebna, swoje pożyteczna".

Oto Delatyn. Jest to niewątpliwie najstarsza z tych miejscowości klimatycznych. Miasteczko słynie z powodu starej warzelni soli i znane jest od lat dziesiątek jako miejscowość klimatyczna. Setki starozakonnych szukało tutaj uzdrowienia i znajdowało je, podgórskiem, łagodnem oddychając powietrzem, odżywiając się żętycą, przez medycynę dzisiejszą już zarzucaną, używając wreszcie kąpieli posilnych w Prucie. Miasteczko liczy cztery do pięciu tysięcy mieszkańców, posiada kilka urzędów, piękny, chociaż mały kościół rzymsko-katolicki i cerkiew. Delatyn ma wygodną komunikacyę kolejową ze Stanisławowem i Kołomyją, za pośrednictwem dwóch linii kolejowych, łączących go z temi miastami. Oprócz wybornego położenia i zalet wymienionych, posiada Delatyn jeszcze jednę bardzo cenną specyalność. Jest nią Sołoniec. Jest to potok należący do gminy, w którym urządzono prymitywne, co prawda, ale bardzo zbawienne kąpiele solankowe dla chorych paralityków i reumatyków.

Sołoniec ma przyszłość, jest bowiem nadzieja, że zajmą się temi kąpielami ludzie fachowi i przedsiębiorczy, którzy potrafią postawić je na stopie dzisiejszych wymagań.

Jedna z naszych rycin przedstawia widok ulicy głównej i część rynku delatyńskiego, druga zaś typy ludowe z okolicy Delatyna. Trzeci obrazek przedstawia widok najbliższej sąsiadki Delatyna, Dory, również słusznie cenionej dla zacisznego swojego położenia miejscowości klimatycznej. Dora jest matką głośną sławę mającego już dzisiaj Jaremcza, którego opis znajdzie czytelnik w następnym numerze. *S. B.*

Nowe prezydyum m. Lwowa.

Municypalność, czyli zarząd miasta — jest w konstytucyjnym ustroju państwowym poruczony rękom obywateli, wolno obieranych przez mieszkańców dotyczącego grodu. Administracya dochodów miejskich, zawiadywanie budynkami i placami stanowiącymi własność gminy, utrzymanie w niektórych miastach także porządku publicznego (straż policyjna) — wszystko to podlega kompetencyi władz magistrackich. Ogólną a nader dyskretną kontrolę zastrzega sobie rząd nad czynnościami magistratów. O ile n. p. pokażą się nieporządki w gospodarce gminnej — czynności burmistrza i rady miejskiej mogą być zawieszone i funkcyonaryusz starostwa obejmuje prowizorycznie rządy, które sprawuje tak długo, aż porządek w gospodarce znowu zaprowadzony zostanie. Głowa miasta (prezydent lub burmistrz) i ojcowie miasta (radcy) — wybierani są też zazwyczaj z ludzi powszechnie znanych, szanowanych, moralnie i materyalnie niezależnych.

W ubiegły czwartek odbyły się wybory na prezydenta miasta, spowodowane ustąpieniem dotychczasowego burmistrza Dra Godzimira Małachowskiego, który obranym został posłem do Rady Państwa z Izby handlowej. Prezydentem obrany został dotychczasowy pierwszy wiceprezydent Michał Michalski, z zawodu rzemieślnik. Jest to typowy okaz obywatela-mieszczanina. Znany w całem mieście, niezmiernie lubiany, nosi się zawsze po polsku, po polsku też myśli i czuje. Przez 25 lat był członkiem rady miejskiej, a zacną, obywatelską pracą około dobra gminy, zasłużył sobie niewątpliwie na zaszczytny wybór dzisiejszy.

Pierwszym wiceprezydentem obrany został dr. Tadeusz Rutowski, drugim zaś dotychczasowy drugi wiceprezydent Ciuchciński.

W numerze niniejszym podajemy portrety wszystkich trzech dygnitarzy lwowskiej municypalności.



Nowe prezydyum miasta Lwowa: Dr. Godzimir Małachowski, były prezydent miasta Lwowa.

Pożar najstarszej świątyni w Gdańsku.

Gdańsk, starożytne miasto, którego historya sięga zamierzchłej przeszłości — odznacza się, jak wogóle wszystkie grody tego rodzaju, starożytnemi budowlami, pomnikowemi dziełami sztuki i architektury. W rzędzie ich dominujące miejsce zajmował tum św. Katarzyny, jedna z najstarszych świątyń w Gdańsku. Sławę swoją zawdzięcza katedra nie tyle może pięknej, starożytnej strukturze i świętym pamiątkom w wnętrzu jej nagromadzonym — ile słynnym na cały świat niemal — dzwonom. Dzwony te—a jest ich cały kompleks—są w ten sposób zszeregowane i tony ich tak dobrane, że przy dzwonieniu odgrywają niezmiernie piękną i melodyjną pieśń: hymn do Najśw Maryi Panny.

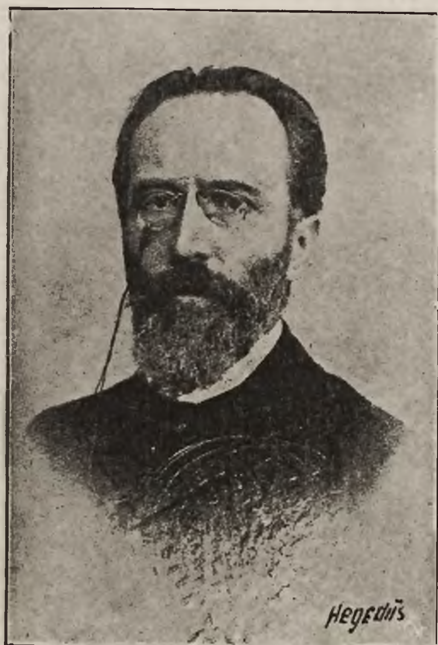
W zeszłym tygodniu dzwoniono wieczór w poświęcane dzwony, nie zważając wcale na przeciągającą ponad miastem burzę. W połowie wydzwanianego hymnu, uderzył piorun w jeden z dzwonów, stopił go i zapalił drewniane wiązanie, na którem zawieszone były. Dzwony runęły – kościół częściowo ucierpiał od pożaru. Ta szkoda da się jednak naprawić. Stopionych jednak przez piorun dzwonów—nie odleją na nowo, a przynajmniej nie



Z Delatyna do Worochty: Typy ludowe z okolic Delatyna.



Z Delatyna do Worochty: Miejscowość Dora.



Nowe prezydyum miasta Lwowa: Tadeusz Rutowski, I. wiceprezydent miasta Lwowa.

ich tak, by ów śliczny, melodyjny hymn do Matki Boskiej — mogły jeszcze zagrać.

Kościół św. Katarzyny był jedną z najbardziej starożytnych budowli w Gdańsku. Stanowił on niemałą atrakcyę dla obcych, zwiedzających to stare miasto, które do dziś dnia zdołało zachować pewien odrębny, swój własny styl i charakter, który dopiero w ostatnich czasach począł upadać i ustępować miejsca szablonowemu, niemieckiemu budownictwu. Dzwony na wieży kościoła św. Katarzyny, należały do tak zwanych „cudów świata". I rzeczywiście, kiedy strażnik wieczorem, o słońca zachodzie, począł z nich wydobywać tony, łączyć je i wiązać, unosił się ku niebu przepysznie harmonijny, dźwięczny i przenikający duszę, hymn do Bogarodzicy. Kto słyszał te dzwony, ten wnet zapomnieć nie potrafi wrażenia, jakie budziły w duszy, jak podnosiły myśli ku Bogu, wlewając w serca zwątpiałe nadzieję.

Tum św. Katarzyny zostanie prawdopodobnie odrestaurowany; przywrócą mu może dawny charakter i świetność, ale nie przywrócą mu już tej harmonii dzwonów, tych organów, w których rolę trąb i piszczałek odgrywały dzwony. Była to jedyna rzecz w swoim rodzaju, podziwiana równo przez swoich, jak i obcych, arcydzieło nieznanego mistrza dawnych czasów, którego imię przepadło w niepamięci fali; pozostało jedynie jego dzieło, nieśmiertelne, jak się zdawało, zniszczone zaś niespodziewanie i nagle.

Na rycinie naszej widzimy właśnie chwilę, kiedy wieża kościoła św. Katarzyny stanęła w płomieniach. Otoczyły ją wieńce płomiennych języków, zrobiło się jasno od ognia. Rzucono się na ratunek, ale daremnie. Bo oto rozległ się głuchy huk, jakby podziemny wybuch wulkanu i cały kompleks dzwonów runął, gruchocąc wieżę i rusztowanie.

Fotografia, którą w dzisiejszym numerze reprodukujemy, zdjętą została wieczorem, gdyż pożar wybuchł o zmierzchu, kiedy już było ciemno, tem bardziej, że w okolicy szalała burza, która już docierała w tej właśnie chwili do miasta Gdańska.

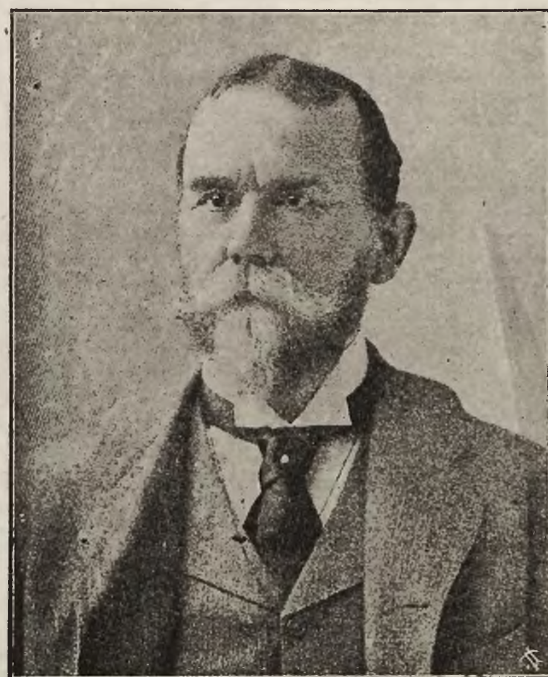


Nowe prezydyum miasta Lwowa: Ciuchciński, II. wiceprezydent miasta Lwowa.

Śmierć sekretarza stanu Unii półn.-amerykańskiej.

Dziennikarstwo i dyplomacya straciły poważnego przedstawiciela. Zmarł sekretarz stanu Unii północnocno-amerykańskiej, kierownik polityki zagranicznej tego olbrzymiego państwa, Jan Hay.

Hay zaczął od dziennikarstwa, najlepszej szkoły praktycznej dla polityków i dla dyplomatów. W redakcyach Nowoyorskich uczył się szybkiej oryentacyi, zbierał informacye historyczne, polityczne, gospodarcze i geograficzne o danem zdarzeniu, by je natychmiast spożytkować w treściwym, ciętym artykule, studyował stosunki osobiste wybitnych mężów stanu, stosunki, które tak często wpływają decydująco na przebieg spraw tudzież ich rozwiązanie. Zadanie dobrego dziennikarza i zadania współczesnego dyplomaty wyrastają z wspólnego pnia. W krajach bez przesądów społecznych, w krajach, idących naprzód, dziennikarze wstępują w szeregi dyplomacyi i odwrotnie, opuszczając gabinety dyplomatyczne, zasiadają ponownie przy biurku redakcyjnem. Tak się stało z Janem Hayem.



Śmierć sekretarza stanu Unii półn.-amerykańskiej: Jan Hay.

Urodzony w 1838 r., już jako dwudziestoletni młodzieniec zarabiał sporo grosza reporterką. Był śmiałym, pomysłowym, pilnym reporterem. Przed reporterem pilnym i pomysłowym świat w Ameryce otwarty. Z reportera wzbił się też niebawem na stanowisko wybitnie polityczne. Prezydent Lincolin zrobił go swoim sekretarzem. Gdy w 1865 r. Lincoln padł pod sztyletem Bootha, Hay przeszedł do służby dyplomatycznej jako sekretarz poselstwa zrazu w Paryżu, potem w Wiedniu, wreszcie w Madrycie. Bogaty w naukę i doświadczenie praktyczne, rzucił dyplomacyę. Został redaktorem działu politycznego w nowojorskiej „Tribune", potem redaktorem naczelnym owego dziennika. Dopiero po 9 latach opuścił dziennikarstwo, by znowu wejść do dyplomacyi; od 1878 r. do 1881 r. był pierwszym wicesekretarzem stanu.

W 1881 r. znowu powrócił do dziennikarstwa na całe lat szesnaście. Opuścił je w marcu 1897 r. przyjmując ambasadę londyńską. Zamienił tę ostatnią 20 września 1898 r. na sekretaryat stanu.

Podajemy obok portret znakomitego dyplomaty.



Z Delatyna do Worochty: Rynek w Delatynie.



Pożar najstarszej świątyni w Gdańsku: Widok palącej się wieży kościoła św. Katarzyny.



O dwa Miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

8 (Ciąg dalszy).

— O święta naiwności! Przecież byliby za mną wypuścili całą sforę psów policyjnych. Nie, w moim planie było patrzeć spokojnie, jak policya weźmie się do Milesa, albo też do właściwych włamywaczy. Później miałem zamiar jeszcze raz zachorować. Przedtem jednak miałem wydobyć mój skarb z ukrycia i zabrać go ze sobą. Ponieważ zaś zdrowie moje jest trochę nadszargane, byłbym podziękował za służbę, dostałbym od starego bardzo dobre świadectwo i byłbym odjechał na zachód, do Europy, albo licho wie dokąd, by tam zacząć nowe życie, życie milionera! Ale, która to godzina, Zosiu, musi już być lada chwila szósta.

Lydia spojrzała na zegarek.

— Jeszcze ośm minut, Jack, spiesz się i kończ. Nie powinniśmy się rozejść, dopóki wszystko nie będzie między nami w porządku.

— Cóż tu jest do dodania? O pierwszej przyszli trzej chłopcy, weźli — z wyjątkiem Grabbera, który pilnował na dziedzińcu — przez ścianę, rozbili kasę i nie znaleźli nic. Zgłupieli, skoro zobaczyli, że teczki z milionami brakuje — a ja udałem, że jestem nie mniej od nich zdumiony. W kilku słowach powiedziałem im, co ja o tem myślę i rozwinąłem nowy mój plan. Powiedziałem im mianowicie, że wedle mojego zdania Miles zabrał miliony, bo widziałem go wieczorem, jak się w podejrzany sposób skradał do skarbca. Było to więc według ich mniemania nic innego, jeno prosty przypadek. Powstrzymałem ich od zabierania złota i srebra, bo potrzebowałem tego podstępu wobec policyi i wobec starego Vanderhooka. Oni powinni sądzić, że Miles nie chciał zrujnować banku do szczętu, lecz chciał zabrać tyle tylko, ile mu było potrzeba. Dla ich własnego bezpieczeństwa, a równocześnie, ażeby od siebie oddalić wszelkie podejrzenia, musiałem ich do tego nakłonić. Chłopaczki zresztą wierzyli mi najzupełniej, odmalowałem im moją nienawiść do tego rozpustnika i marnotrawcy Milesa w takich barwach, że aż zębami zgrzytali. Może — jak się teraz od pani dowiaduję — na pewne — podejrzywali i mnie, ale na tem mi mało zależy. Nie spieszyłem się jednak z tem, aby skarb przenieść i gdzieindziej go schować, ale teraz, niech się dzieje, co chce. Jestem gotów do działania. Dzisiejszej nocy jednak jeszcze nic nie będę robił. Dopiero jutro w nocy skarb wydostanę i pójdziemy sobie razem do Buffalo, ażeby się przedostać za granice Kanady. Tam już będziemy bezpieczni, dopóki się wszystko nie uspokoi i nie będziemy mogli swobodnie odjechać do Europy. To już byłby koniec. A teraz ucałuj mnie, dziewczyno, i staw się jutro wieczór na czas, bym ci mógł powiedzieć, gdzie się spotkamy. Aj! To przecież wspaniała rzecz, z taką, jak pani, dziewczyną puścić się w świat, szczególniej, jeśli się po trzechletniej bezczynności człowiek raz nareszcie uczuje zdolnym do lotu.

Szalona Zośka odsunęła swego genialnego wielbiciela nieco w głąb ulicy i powoli wyrwała mu się z objęć.

— Odebrałeś mi rozum, Jack — rzekła — zdaje mi się teraz, że wobec pana jestem taka niemiłosiernie mała! Trzy lata udawałeś pan uczciwego człowieka — *well*, to już stawia pana w rzędzie wielkich ludzi. Ale teraz muszę się spieszyć, żeby jeszcze zastać Billa, bo ta historya z Milesem Vanderhookiem...

Urwała nagle.

Wysoka postać młodego Vanderhooka wynurzyła się na ulicy i nagle przystanęła, kiedy z ust Lydii padło nazwisko Vanderhook.

Miles obrócił się, podszedł parę kroków i zobaczył Lydię i Boba Murphy. Był on zanadto donżuanem, aby okazać jakieś zdumienie lub wzruszenie.

Zimno spoczęły jego oczy na wiotkiej postaci dziewczęcia.

— Czy mnie pani wołała, miss Lydio? — zapytał.

Lydia Horn patrzyła bezradnie w ziemię.

— Nie, sir — odrzekła szeptem.

— Ta młoda miss przyniosła mi kilka rzeczy dla mojej żony — począł Murphy, mnąc czapkę w ręku — żona moja bowiem od dłuższego czasu choruje, a ta dama jest na tyle dobrą, że się nią opiekuje.

Miles skinął głową, odwrócił się z sarkastycznym uśmiechem na ustach i poszedł dalej.

Pozostali patrzeli na siebie przez chwilę zdumieni.

Wreszcie Jack wybuchnął:

— Do stu piorunów, że tu właśnie teraz dyabli tę małpę przynieśli!

— Nic nie szkodzi — pocieszała go szalona Zośka — jutro wieczór będziemy się śmiać z niego. Ale, ale, to już szósta bije. Idź pan do służby, ja polecę do miasta.

— W takim razie, *good bye!* A spakuj swoje rzeczy. Do jutra wieczora!

Krótki uścisk dłoni, dwa ogniste spojrzenia i obydwoje rozeszli się.

VIII.

Lydia nie poszła jednak teraz prosto przed siebie. Niebawem skręciła w boczne ulice i za chwilę była już przed budynkiem dyrekcyi policyi jedenastego obwodu nowojorskiego. Weszła tam i zwróciła się do pełniącego służbę wachmistrza.

— Czy kapitan Tomson w biurze?

— Tak, a co? — odparł niechętnie urzędnik.

— Chciałabym z nim się widzieć w sprawie urzędowej.

— Urzędowej? Wyrażenie nie najlepiej dobrane — rzekł sierżant, nie podnosząc się — jeżeli pani ma jaki interes, to proszę; może się pani do mnie zwrócić.

Lydia roześmiała się, potem wyjęła mały srebrny szyldzik i pokazując go, rzekła:

— Oto jest, czy to wystarcza?

Urzędnik wytrzeszczył oczy.

— Ah, przepraszam — wyjąkał. — Jestem dopiero od dwóch dni w tym obwodzie. Kogóż mam zameldować kapitanowi?

— Detektywa *P.*

Teraz uśmiech pojawił się na twarzy sierżanta.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panią — w tej chwili panią zameiduję!

Po kilku sekundach jedne z bocznych drzwi się otworzyły i kapitan Ulisses Tomson ukazał się na progu.

— Proszę panią, miss Barcley — zawołał uprzejmie — proszę bardzo; tu będziemy sami; no, cóż się stało? Wbrew instrukcyom pani przychodzi osobiście. Cóż to znaczy? Stało się co ważnego?

— Ważnego nic — odparła spokojnie młoda kobieta. — Sprawa Vanderhook jest aż do najdrobniejszych szczegółów załatwiona.

— Załatwiona?

Kapitan zerwał się i skoczył prawie na ajentkę.

— Proszę mówić! Jak ja to mam rozumieć?

— Eh, kapitanie, sprawa bardzo prosta. Sprawca jest odkryty i jest w moich rękach. Dwa miliony również.

Kapitan Tomson jakby się ugiął pod ciężarem tych słów. Włożył ręce do kieszeni i począł szybko chodzić po pokoju, gwiżdżąc zaciekle przez zęby. Wreszcie uspokoił się, zasiadł na nowo przy biurku i rzekł dobitnie:

— Więc Miles Vanderhook — co?

Piękna Lydia zaprzeczyła ruchem głowy.

— Co? Nie on? Nie Miles Vanderhook? Czyż pani sama nie znalazła w jego kieszeni chusteczki, u której brakowało jednego rogu? Czyż mi nie przysłałaś drugiego?

— I owszem, ale teraz wiem na pewne, że chusteczkę tę włożyła obca ręka do jego kieszeni, umyślnie w tym celu, aby podejrzenie na niego wzmocnić.

— A ten człowiek, który pracował w nocy razem z Billem Crookey, ten łysy?

— Taki nie egzystuje wcale. Miles Vanderhook jest niewinny.

— Więc któż? Miss Barcley, mówże pani, kto?

— Nie wiem, czy go pan zna. Nazywa się Lone Jack.

Chwila ciszy.

Kapitan zakrył oczy dłonią, jakby chciał odegnać wszelkie inne myśli. Podniósł się, wolnym krokiem podszedł ku przeciwległej ścianie, przy której stała wysoka szafka na książki i wyjął stamtąd jedną książkę, z którą szybko powrócił do swego biurka.

Już miał ją otworzyć, gdy nagle powstał, rzu-

cił książkę na stół i począł palcem pisać w powietrzu jakieś cyfry.

— Już wiem, miss Barcley — zawołał po chwili — pamięć mnie nie zawiodła. Lone Jack, nowicyusz w Nowym Jorku, przyszedł z południa przed blisko czterema laty, brał udział we włamaniu w pierwszorzędnym banku w Colorado — od tego czasu znikł — w Nowym Jorku nie zdołano go odszukać.

— Dosyć, dosyć, kapitanie — przerwał detektyw *P.* — zgadza się. Lone Jack przebywa od trzech lat w Nowym Jorku i stosownie do swego nazwiska (sam dla siebie) pracuje zawsze sam. No, a wiesz pan, kto to jest?

— Nie mam pojęcia.

— Ja panu powiem. Bob Murphy.

Kapitan nic nie odrzekł.

Począł tylko kręcić głową, a z ust jego wydarł się cichy świst, jakby zawziętości i zazdrości. Wreszcie uspokoił się, wstał i podał rękę pięknej damie.

— A więc dlatego — rzekł — miałaś pani z nim te romanse pod bramą? Wzięłaś go pani na miłość, obałamuciłaś go i wydobyłaś w ten sposób tajemnicę. Praca pani godna jest jedynie podziwu. Ale w jaki sposób doprowadziłaś go pani do tego że się zdradził? Taki szczwany zbrodniarz, jak on...

— Przedstawiłam mu się jako szalona Zośka z Mulberrystreet.

Kapitan roześmiał się.

— Ależ to już stara baba, któraby mogła być babką pani.

— Wiem o tem. Ale on, Lone Jack, nie zna jej.

— A jakżeż mu pani wytłumaczyła przyczynę, dlaczego pani przyjęła miejsce w banku?

— Powiedziałam mu, że mam jego pilnować.

— Co?

— Niech mnie pan dobrze zrozumie – wysłana przez Billa Crookey.

— Na świętego Ulissesa. teraz zaczynam pojmować — ten łajdak podszedł tamtych, użył ich poprostu jako płaszczyk niewinności dla siebie, pieniądze ukradł sam i schował je w bezpiecznem miejscu, a podejrzenie rzucił na młodego Vanderhooka. Genialne! Dalibóg genialne! Niechże mi pani jednak opowie od początku, jak się to stało!

— Teraz nie, kapitanie. Moje zjawienie się tutaj ma szczególną podstawę. Policya musi wytężyć wszystkie siły, ażeby przeszkodzić uplanowanemu przez Billa Crookey uprowadzeniu.

— Hm — a kogóż on chce uprowadzić?

— Młodego Vanderhooka.

— Aha — — oni sądzą, że Miles ma skradzione dwa miliony!

— Chcą go, o ile wiem, uprowadzić do jakiejś nieznajomej mi dotychczas knajpy na Bleekerstreet, do „czerwonego Jacka"; można się spodziewać najgorszego...

— Więc mord?

Kapitan aż podskoczył ze stołka i utkwił wzrok w posadzce.

— Dobrze, miss Barcley, dziękuję pani. O pracy pani pomówimy później. Tu nie wystarcza nawet najwyższa pochwała. Niech się pani teraz uda ze mną do głównej dyrekcyi, do inspektora Byrnesa. Ja w tej chwili zarządzę, co potrzeba.

IX.

Pod filarami kolei napowietrznej, przy stacyi, znajdującej się na skrzyżowaniu Broadway i Avenue, stali dwaj ludzie.

Obaj, ubrani skromnie, byli w wieku najwyżej 30 lat i wyglądali na bardzo porządnych bussinesowców, przemysłowców.

Co w nich uderzało, co zwracało na nich uwagę, to fakt, że od pół godziny już stali nieporuszenie na ostatnim stopniu schodów. wiodących ze stacyi napowietrznej.

Jedynie wtedy, kiedy nad nimi zahuczał pociąg, przychodzący od strony dolnego miasta i fala podróżnych poczęła się ze schodów wysypywać na ulicę, podnosili głowy, ożywiali się, i badawczem okiem przyglądali się każdemu z przechodzących.

Raz przystąpił do nich policyant, zamienił parę słów i odszedł.

Była godzina dziesiąta rano.

Ruch na skrzyżowaniu się tych najruchliwszych i najbardziej w Nowym Jorku ożywionych ulic, dochodził do punktu kulminacyjnego.

Teraz właśnie przychodził jeden pociąg za drugim. Jeszcze ostatni pasażer nie zstąpił z ostatniego stopnia schodów, a już napływała nowa fala świeżo ostatnim pociągiem przybyłych.

Obaj nieznajomi jakby się cali zamienili we wzrok. Podczas, gdy jeden obserwował bacznie wyjście ze stacyi, drugi śledził bardzo pilnie tych, którzy już byli na dole, obok niego.

Nagle obaj zeszli ze stopnia, na którym stali, porozumieli się oczyma i przeszli na drugą stronę ulicy.

Między pasażerami, którzy później wyszli ze stacyi, znajdował się Miles Vanderhook.

Ze spuszczoną głową przeszedł przez ulicę i rzucił okiem na nieznajomych, którzy, jak się zdawało, mieli ochotę stanąć mu w drodze.

— Dzień dobry, mister Vanderhook — rzekł jeden, grzecznie uchylając kapelusza.

— Mamy z panem kilka słów do pomówienia — dorzucił drugi.

Miles patrzał obojętnie na jednego i drugiego.

— Nie prowadzę żadnych interesów na ulicy, moi panowie — rzekł spokojnie. — Proszę się zgłosić do mnie do biura.

— Bardzo dobrze — rzekł drugi i dodał szybko — ale wysłuchaj nas pan naprzód i zachowaj się pan spokojnie. Dlaczego pan albo my mamy mieć nieprzyjemności? Jesteśmy tajnymi ajentami. Inspektor Byrnes wysłał nas, ażebyśmy pana aresztowali. Dzieje się to zresztą dla dobra pana, sir — później to panu wyjaśnimy. Podejrzenie, jakie na panu ciążyło, już znikło, jedynie, aby pana uchronić przed niebezpieczeństwem, polecono nam pana aresztować. W imieniu prawa zatem — mister Miles Vanderhook — aresztuję pana. Proszę za nami!



— Nie wiem, czy go pan zna. Nazywa się Lone Jack.

Miles nie stracił spokoju.

— Dlaczego jednak na ulicy? — zapytał. — Czyż nie można mnie znaleźć w biurze?

Detektyw wzruszył ramionami.

— Niema czasu do stracenia, sir. Wchodzą tu w grę inne rzeczy. Niech pan nie pyta więcej, bo czas nagli.

— Żałuję bardzo – odparł Miles z uśmiechem – nie mogę panom jednakże nie zadać jeszcze pytania. Naprzód, proszę się wylegitymować!

Jak na komendę wyciągli obaj dżentelmeni zegarki, równocześnie jednak małe srebrne tabliczki z stampilią policyjną i pokazali je Milesowi.

Nikt z przechodniów nie był w stanie zauważyć, że między stojącymi na ulicy trzema dżentelmenami zaszło coś nadzwyczajnego. Stanęli ot. i porównują swoje zegarki, chcąc wiedzieć napewno, która godzina,

— Czy pan zadowolony, sir? — spytał pierwszy.

— Nie, sir. Proszę o rozkaz aresztowania.

— Oto jest!

Detektyw rozwinął papier, podpisany własnoręcznie przez inspektora Byrnesa.

— A teraz, niech pan pozwoli z nami. Mamy polecenie zastosować się do wszystkich pańskich życzeń, aby usunąć trudności. Ale zdaje mi się, że pan już teraz spokojny. Pójdziemy z panem nie do dyrekcyi policyi, ale do prywatnego mieszkania, gdzie pana oczekuje inspektor.

Młody człowiek poszedł, ale za chwilę przystanął znowu.

— Nie bierzcie mi tego za złe, panowie — rzekł uprzejmie, — położenie moje jest bardzo szczególne i wymaga z mojej strony nadzwyczajnej ostrożności. Widziałem odznaki panów i rozkaz aresztowania, ale w tych sprawach jestem nowicyusz. Któż mi zaręczy, że odznaki są prawdziwe, a rozkaz aresztowania nie sfałszowany? Przyszła mi właśnie myśl, że panowie możecie być zbrodniarzami, którzy pod płaszczykiem mojej osoby dokonali włamania, a teraz godzą na moje życie. Wyciągam z tego wniosek, że nie powinienem iść za panami i gotów jestem użyć gwałtu, jeżeli by panowie chwycili się go również.

Ajenci skinęli głowami.

— Bardzo dobrze powiedziane — rzekł jeden, rzucając badawczy wzrok w głąb ulicy.

— Byliśmy na to przygotowani, sir — podjął drugi — i otrzymaliśmy w tym celu osobne instrukcye. Wolno panu zabrać pierwszego lepszego policyanta z ulicy, dla zapewnienia się, że pan jesteś bezpieczny.

W tej właśnie chwili zjawił się obok nich wysoki policyant, który zdążał wprost ku nim, widocznie w zamiarze wezwania ich do rozejścia się i nie tamowania drogi.

Twarz młodego Vanderhooka rozjaśniła się. Szybkim krokiem podszedł do niego i opowiedziawszy mu w krótkich słowach, o co chodzi. wezwał go, aby się udał z nim razem.

Policyant wzdragał się, aż się w sprawę wdali agenci. Jeden z nich wyjął z kieszeni małą kartkę, opatrzoną pieczęcią i podał ją policyantowi, który ją uważnie przeczytał i schował do kieszeni.

— Wszystko w porządku dżentelmeni — rzekł — jestem na usługi. Dokąd mam panom towarzyszyć?

— Kawałeczek jeno — odparł detektyw — a teraz ruszajmy, bo to już czas najwyższy.

Wszyscy czterej ruszyli szybkim krokiem i stanęli przed jakimś wysokim budynkiem.

— To tutaj — rzekł jeden z detektywów — proszę wejść.

Ajenci szli pierwsi, za nimi Miles i policyant. Wyszli wreszcie na trzecie piętro i weszli do pustego pokoju, do którego w kilka chwil później wszedł również kapitan Tomson i inspektor Byrnes, obydwaj w zwyczajnych, cywilnych ubraniach.

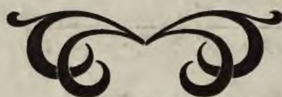
— No jakże? — szepnął jeden z detektywów – było się czego bać, panie Vanderhoock?

— Nie gniewajcie się — odparł z uśmiechem.— Proszę wziąć ten czek. To jest dziesięć dolarów, któremi się panowie możecie podzielić.

Policyści na znak, dany przez kapitana, pokazali mu w odpowiedzi swoje instrukcye, poczem ukłonili się i wyszli.

Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, kiedy wysoki, tęgo zbudowany mężczyzna, z długą, wspaniałą brodą, pochwycił ręce gościa i serdecznie uścisnął.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Fot. J. Zacharski, Nowy Sącz
Poświęcenie sztandaru Sokoła w Nowym Sączu: Pochód Sokołów z kościoła po poświęceniu sztandaru.

Poświęcenie sztandaru Sokoła w Nowym Sączu.

Sokół w Nowym Sączu obchodził w dniach 11 i 12 czerwca b. r. dwie uroczystości, 11 czerwca poświęcenie sztandaru i gmachu, a 12 czerwca zlot Sokolstwa II okręgu.

Dnia 11 czerwca o godzinie 8-ej rano drużyna Sokola w liczbie 100 umundurowanych druhów, poprzedzona plutonami honorowymi, w których stanęli poważny delegat z za kordonu, posłowie dr. Bernadzikowski, Bojko, Bujnowski, prezesi gniazd, delegaci gniazd galicyjskich, udała się ze swym sztandarem do kościoła parafialnego. Publiczność, zaproszona na tę uroczystość, opasana wieńcem Sokołów, ustawiła się przed głównym ołtarzem. Solenne nabożeństwo odprawił ks. infułat dr. Góralik, poczem po pięknem przemówieniu, dokonał poświęcenia sztandaru i wbił pierwszy złoty gwóźdź. Między rodzicami chrzestnymi była hr. Stadnicka z Nawojowej ze swym synem, marszałek Głębocki, gość z za kordonu, który wbił przepiękny gwóźdź z herbem Warszawy, delegaci miast i wielu miejscowych dygnitarzy wraz z paniami i życzliwa Sokolstwu publiczność.

O godzinie 12-ej dokonał poświęcenia gmachu ks. dr. Góralik, poczem Sokół przyjmował śniadaniem zaproszonych gości. Do stołu usiadło 185 osób. Prezes miejscowego gniazda, dr. Flis, wygłosił toasty: na cześć duchowieństwa w ręce infułata dra Góralika, Związku i Okręgu w ręce prezesa Okręgu dra Tertila, miasta w ręce dra Barbackiego, zwierzchników władz w ręce dra Peca dyrektora skarbowego, obecnych delegatów Sokolstwa polskiego, rodziców chrzestnych, a w końcu wszystkich Sokolstwu życzliwych w ręce osiwiałego weterana w służbie Sokolstwa polskiego, druha Lucyana Lipińskiego, wiceprezesa okręgu i honorowego członka gniazda Nowo-Sądeckiego. W podniosłych słowach, pełnych godności i miłości braterskiej, wniósł druh Lipiński toast na cześć braci pod innymi zaborami w ręce obecnego reprezentanta z za kordonu, na co ten odpowiedział w tak porywających i przecudownych słowach, że nie było na sali jednej osoby, by łzy nie uroniła. Zdawało się, że przez salę przeleciał duch naszej Polski, że Kościuszko, którego biust udekorowany stał na sali, przygarnia wszystkich do swego serca, że Matka Częstochowska, powiewająca na sztandarze, błogosławi zgromadzoną drużynę. Chwila ciszy grobowej, przerywana łkaniem, była wyrazem głębokiej czci dla mąk naszych braci. Skoro publiczność zgromadzona ochłonęła z pierwszego wrażenia, jak huragan rzucili się druhowie do gościa i jak ukochane dziecię obnieśli go na rękach w około sali.



Fot. J. Zacharski, Nowy Sącz.
Poświęcenie sztandaru Sokoła w Nowym Sączu: Dr. Stanisław Flis, prezes Tow. gimn. Sokół w N. Sączu.

Szereg toastów, wśród których należy zaznaczyć piękny toast druha dra Peca, dyrektora skarbowego, nawołujący do pracy cichej nad odrodzeniem wewnętrznem, zakończył poseł Bojko na temat „kochajmy się", zalecając Sokolstwu, by, jak dawniej chłop miał obowiązek strzedz sokolików w gniazdach i zaprawiać ich do lotu dla królów i szlachty polskiej, dziś Sokolstwo niech strzeże włościan i hołubi ich w swych gniazdach, wpajając ideały Sokole.

Tegoż dnia po południu rozpoczęły się ćwiczenia zlotowe, które wypadły wspaniale.



Poświęcenie sztandaru Sokoła w Nowym Sączu: Grupa członków Sokoła nowosądeckiego ze sztandarem. Fot. J. Zacharski, Nowy Sącz.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię grupy członków Sokoła ze sztandarem, pochód Sokołów z kościoła po poświęceniu sztandaru, oraz portrety prezesa Sokoła sandeckiego p. St. Flisa i delegata z Warszawy p. A. Fertnera.

Opróżnienie Wawelu.

Jak wiadomo, cesarz Franciszek Józef I darował Wawel narodowi. Wzgórze wawelskie, dla każdego Polaka tak święte i tak drogie, jak żadne inne miejsce w Polsce, stanie się więc znów nasze, dostanie się pod naszą opiekę i od nas już zależeć będzie, jak ono będzie wyglądać i czem być dla nas może. Dotychczas mieszkało w pałacach królewskich wojsko, ale w najbliższych miesiącach wojsko już ustępuje, a około pałaców rozpoczną się roboty restauracyjne, mające na celu przywrócenie tych drogich nam murów do dawnej świetności i chwały. Opróżnienie Wawelu przez wojsko kosztowało jednak miasto Kraków ładną sumę, bo około półtora miliona koron. Kraków musiał bowiem wybudować na pomieszczenie wojska, ustępującego z Wawelu, nowe koszary.

W ubiegłym tygodniu odbyło się oddanie budowli wojskowych, które stanęły między ulicą Warszawską a Długą, w Krakowie, a które przeznaczone są na pomieszczenie części wojska, ustępującego z Wawelu. W tym celu przyjechał z Wiednia naczelnik inżynier armii, generał Czeipek,



Opróżnienie Wawelu: Ogólny widok koszar między ulicą Warszawską a Długą. Fot. E. Pierzchalski.



Fot J. Zacharski, N. Sącz.
Poświęcenie sztandaru Sokoła w Nowym Sączu: A. Fertner, wiceprezes warszawskiego Tow. Cyklistów, delegat z Warszawy na zlot sokoli w N. Sączu.

który przeprowadził kolaudacyę w obecności dyrektora budownictwa wojskowego w Krakowie, majora Lustiga. Gen. Czeipek kilkakrotnie wyraził zadowolenie wobec komisyi i wobec przedsiębiorstwa z powodu fachowego i pięknego wykonania wszystkich budowli. Koszta tych budowli wynoszą około półtora miliona koron.

Gmachy, z których w dzisiejszym numerze zamieszczamy dwa zdjęcia, wykonane zostały przez krajową spółkę budowlaną, w skład której wchodzili Hand, Riegenhaupt, Epstein i Uderski, Wimmer, Rotchirsch. Okazało się, że i wielkie roboty budowlane można u nas krajowemi siłami, dobrze, tanio i na czas wykonać. Wszelkie roboty murarskie wykonali majstrowie Szczepan Rabisz i Walenty Dudek, roboty kamieniarskie majster Markiewicz, roboty ciesielskie majster Kowalski, sztukaterskie rzeźbiarz Szopiński, ślusarskie fabryka Góreckiego i t. d. Kierownictwo robót przy wszystkich budowlach spoczywało ze strony przedsiębiorstwa w rękach p. inżyniera Rudolfa Handa, budowniczego w Krakowie.

Historya zabiegów o odzyskanie zamku na Wawelu sięga pamiętnego pobytu cesarza Franciszka Józefa w Krakowie w r. 1880. Gdy nadeszła wiadomość o zamierzonem przybyciu cesarza do kraju, na obradującym podówczas sejmie, w dniu 7 lipca, złożył poseł Mikołaj Zyblikiewicz do laski marszałkowskiej wniosek nagły, by Izba za pośrednictwem deputacyi zaniosła do cesarza prośbę o zamienienie zamku krakowskiego na rezydencyę monarszą. Wniosek został jednomyślnie przyjęty. W skład deputacyi weszli: marszałek kraju hr. Ludwik Wodzicki, Grocholski, Zyblikiewicz, Jerzy Czartoryski, Eustachy Sanguszko i biskup-rusin Stupnicki. W dniu 3 września cesarz przyjął deputacyę w Krakowie i w odpowiedzi na wyrażoną prośbę rzekł: „Wielka to cnota poważne tradycye przeszłości w wysokiej czci przechowywać i godzić je z obowiązkami teraźniejszości. i bądźcie panowie przekonani, że spełnienie waszej prośby leży mi na sercu i szczególnie sprawi mi zadowolenie, gdy ujrzę starością omszony zamek wawelski, w odmłodzonej postaci, do dawnej świetności przywrócony“. Odpowiedzią tą losy Wawelu zostały w zasadzie rozstrzygnięte, zgodnie z pragnieniem całego kraju.

W rok potem zażądał cesarski urząd ochmistrzowski od Wydziału krajowego przedłożenia planów zamku. Planów takich nie było. Opracowanie ich poruczono znakomitemu architekcie krakowskiemu, ś. p. Prylińskiemu. Chodziło o plan zamku w stanie, w jakim znajdował się w owym czasie i o drugi, historyczny, z epoki najwyższego rozkwitu rezydencyi monarszej na Wawelu Pryliński przeprowadził rozległe studya, by ten drugi plan odtworzyć z jaknajwiększą wiernością i dokładnością. W tym celu czynił poszukiwania w licznych muzeach i bibliotekach, i po roku wypracował na podstawie zebranego materyału plan, który sam dla siebie był pracą historyczną wielkiej wartości i po trzykroć oceniany był pochlebnie przez znawców na wystawach: w Turynie, w Monachium i w Krakowie. Elaborat Prylińskiego złożony został w urzędzie ochmistrzowskim w Wiedniu. W toku dalszych rokowań pomiędzy urzędem dworskim a Wydziałem krajowym wyłoniły się trudności z innej strony. W grę weszła sprawa własności gmachu. Zamek zahypotekowany był urzędownie i prawnie aż po dni nasze na imię Rzeczypospolitej Krakowskiej, lecz ponieważ rząd austryacki uznał się za jedynego prawnego następcę Rzeczypospolitej, przeto jako właściciel Wawelu występował od r. 1846 skarb austryacki. Skarb ten wmieszał się teraz do dyalogu, prowadzonego wolno i z całoletniemi przerwami między Lwowem i „hofburgiem“ wiedeńskim, i sprzeciwił się zamienieniu koszar wawelskich na rezydencyę, dopóki załoga na Wawelu nie otrzyma ekwiwalentu w postaci innych budynków.

Wybudować nowe koszary, znaczyło poświęcić na cel idealny parę, może kilka milionów. Ofiara była ciężką. Lecz kraj nie cofnął się przed jej spełnieniem.

Ostatnią fazą sprawy będzie wymarsz załogi austryackiej z Wawelu w dniu 6 sierpnia b. r. Cała historyczna część zamku wraz z wieżą senatorską zostanie nareszcie opróżnioną. Z reszty budynków, które powstały w ciągu ostatniego pół wieku dla celów wojskowych, ustąpi wojsko do r. 1910.

Na zamieszczonych obok illustracyach widzimy nowe budowle wojskowe, kosztem których kraj opłacił opróżnienie Wawelu.



Fot. E. Pierzchalski.
Opróżnienie Wawelu: Nowe koszary, przeznaczone dla wojska, ustępującego z Wawelu, wystawione między ulicą Warszawską a Długą w Krakowie.

ZE ŚWIATA.

Ze świata za światem. — Na krakowskim dworcu. — Galicyjska francusczyzna. — Praca, którą przedłożę paryskiej Akademii. — Jeśli będzie skutek. — Z Krakowa w góry. — Ciekawy towarzysz podróży. — Na willegiaturze.

Kronikę tygodniową, która ma tytuł „Ze świata“, piszę, siedząc za światem, za górami i lasami, niedaleko zapadłej mieściny górskiej. Nie wymieniam nazwiska tej miejscowości, nie dlatego, ażeby czytelnika w błąd wprowadzić i kazać mu się domyślać, że ja może przesiaduję rownie dobrze w Tatrach, jak w Alpach, ale z tej prostej przyczyny, że nie chcę się zdradzić wobec moich wierzycieli. Jestem pewny, że natychmiast zwołaliby walne zgromadzenie, założyliby syndykat, a wybrawszy kilku delegatów, kupiliby im używany automobil i wysłali ich do mnie, celem „wyduszenia“ rozmaitych należności z procentami od takiej a takiej daty. Nawet list mój z niniejszą kroniką powierzę na dworcu wprost ambulansowi, a nie miejscowemu c. k. urzędowi pocztowemu, ażeby nie zdradziła mnie stampilia pocztowa.

Jak wiadomo redakcyi, a raczej administracyi „Nowości Illustrowanych“, która mnie zaopatrzyła w monetę na drogę, wyjechałem z Krakowa koleją państwową przed tygodniem. Na dworcu krakowskim był ogromny ruch. W sali restauracyjnej faceci „zalewali się“, facetki zaś flirtowały na zabój. W poczekalni I klasy mała grupa „towarzystwa“ rozmawiała, o ile mi się zdaje, po francusku, o celu swojej podróży, to jest o Nicei, Monte Carlo i tym podobnych, wielce efektownych miejscowościach. W poczekalni drugiej klasy rozmaite grupy rozmawiały rozmaicie o rozmaitych miejscowościach. Najgłośniej znowu, o ile mi się zdaje, tu i ówdzie po francusku rozprawiano o Zakopanem. Wszakże każdy powinien słyszeć, że tamten pan w kratkę jedzie do letniej stolicy Polski, albo, że tamta pani, ubrana wedle parysko-wiedeńsko-krakowskiej mody, właściwie stale *„demeure a Zakopane“* a tylko czasami przybywa do Krakowa, ażeby się w nowe stroje zaopatrzyć. Mniej głośno i już tylko po polsku rozmawiają ci, którzy mają się osiedlić w Poroninie, Żegiestowie lub Rytrze, a zupełnie cicho porozumiewają się pomiędzy sobą te rodziny, które wyjeżdżają do pierwszej lepszej wioski podgórskiej. Pełno podróżnych mieści się również i w poczekalni trzeciej klasy. Ci jadą daleko, o, bardzo daleko. Jedni na „Saksy“, drudzy do Prus, trzeci do Ameryki. Są niespokojni i co chwila oglądają swoje „papiery“.

— Byle tylko dostać się do Oświęcima — powiada jeden.

— To mało. Byle stanąć za granicą – dodaje drugi.

Pilno im opuścić kraj, tym ptakom wędrownym, które ulatują w świat na skrzydłach... nędzy. I to są silne skrzydła. Poniosą nawet za ocean.

Wreszcie nadchodzi mój pociąg. Powstaje ruch, gwar, zamieszanie.

— Panie konduktorze, czy to pociąg do Zakopanego?

— Czy w Chabówce trzeba się przesiadać?

— Panie konduktorze, dla niepalących!

— Panie, trzy miejsca w „Damenkupe“ — woła jakaś stroskana mama z córeczkami po obu bokach. Woła głośno, silnie akcentując w wyrazie „Damenkupe“ zgłoskę „ku“. Mówi po polsku z galicyjska.

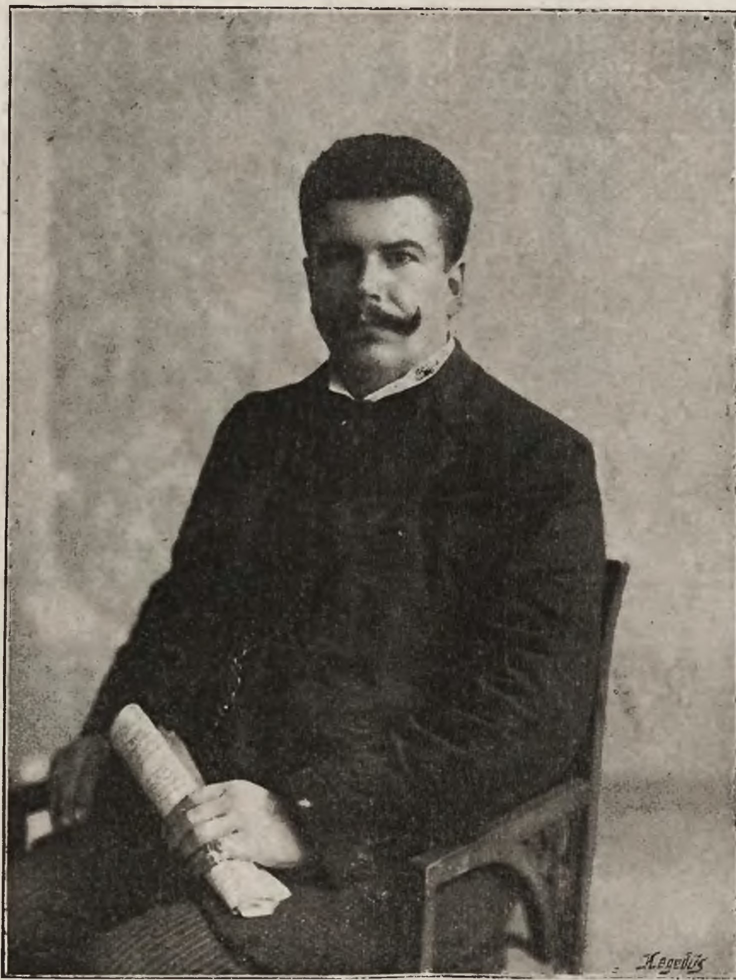
Jakaś pani wygląda z okna wagonu I klasy, i rozmawia z jakimś facetem, który „podobno“ posiadał niegdyś wieś, obecnie zaś ma „z pewnością“ długi, a nie ma niestety kredytu. Przechodząc, słyszę tylko, jak facet mówi melancholijnie do „damy“.

— *N'aurez-vous jamais que des choses désagréables à me dire?*

Dama uśmiecha się blado, a facet znowu szepleni:

— *Pour moi je vivrai pour vous être à jamais attaché.*

Połącz się z nią ku radości wierzycieli, jeżeli ma dobry posag. Tak pomyślałem sobie i nareszcie zdołałem ulokować w wagonie siebie i moje prowianty na drogę. Pociąg rusza i dąży ku Podgórzowi. W wagonie ciasno, duszno i parno. To już jest wyłączną własnością dyrekcyi, a zapłatę i uznanie pod postacią srogich wyrzutów odbiera... konduktor. Nie bez celu tak się nazywa. Gromy, które powinny spaść na dyrekcyę, on przewodzi za okna wagonu. Czasem tylko jakiś grom odezwie się w dzienniku lub księdze zażaleń, oczywiście bezskutecznie.



Aleksander Włoczkowski.

Teraz czas, żebym czytelnikom wyjaśnił, dlaczego na początku mojej kroniki dwa razy powiedziałem, że podróżni niektórzy na dworcu krakowskim rozmawiali po francusku „o ile mnie się zdaje“. Rzeczywiście wielu z nich układało wyrazy francuskie jeden obok drugiego, wymawiało nawet literę „r“ przez gardło, ale czy Francuz byłby ich zrozumiał, bardzo wątpię. Kiedyś, gdy się na dziennikarstwie dorobię majątku i nie będę już musiał codziennie dostarczać pismom artykułów lub fejletonów, napiszę rozprawę o francusko-galicyjsko-krakowskiej gwarze i rozprawę tę poślę francuskiej Akademii w Paryżu. Jeżeli połowa czcigodnych członków owego ciała uczonych nie wyrwie sobie włosów (o ile ma włosy, a czasem nawet i głowę), druga zaś nie padnie natychmiast trupem — to jestem, wyrażając się po krakowsku, „gips“. Okryję się tedy sławą uczonego i pozyskam sobie w dodatku wdzięczność i protekcyę licznych kandydatów, czekających od dawna na opróżnione fotele akademickie.

Drogę z Krakowa odbyłem bez wypadku. Jestem już tak zdenerwowany, że mogę bezkarnie jechać w lecie wagonem kolei państwowej ku Chabówce. Jedno mnie tylko gniewało: oto każdy prawie z podróżnych badał mnie, dokąd jadę, na jak długo, czem się zajmuję, ile mam dochodu i tak dalej. Indagacya tego rodzaju przy 35 stopniach gorąca i w kojcu, który szumnie nazywa się „coupé“, nie jest chyba przyjemną. Zniecierpliwiłem się też na pięknie, kiedy mnie w Dobrej (stacya nie zmyślona) zapytał pewien jegomość:

— Dobrodziejaszek pewnie na pstrągi?

— Nie, na cztery tygodnie — odpowiedziałem.

Myślałem, że będę mieć spokój przynajmniej do najbliższej stacyi, która nas obdarzy nowym towarzyszem podróży, ale omyliłem się bardzo. Niezrażony moją odpowiedzią interlokutor mówi po chwili milczenia:

— Dobrodziejaszek zapewne pisze do gazet humorystycznych? U nas w Limanowej jest także także taki pan, któremu wszystko jedno, czy „zbabrze“ starostę, czy burmistrza.

— A pana nie zbabrał jeszcze?

— Panie, a za co? — sumitował się mój interlokutor. — Mam chałupę za miastem, w politykę nie bawię się, a że czasem grywam w preferansa szton po 2 halerze, albo łowię pstrągi, to nikomu nie zawadza.

Dobiłem się wreszcie do kresu mej podróży. Wysiadłem na stacyi i powozem (jak Boga kocham!) udałem się na miejsce mojego obecnego pobytu. Kwaśne mleko, muchy, poziomki, brytany wiejskie, szum boru, ryk bydła, zgubione na poczcie gazety, kurczęta z sałatą, poczciwe kmiotki — oto części składowe willegiatury. „Wsi wesoła, wsi spokojna“ — powtarzam z poetą i oganiam się we dnie przed muchami, wieczorem zaś przed komarami. Natrętne bestye, ale mniej niż wierzyciele.

Ale niema takiego miejsca, do któregoby nie sięgnęło ramię boga wojny, Marsa. (Proszę odróżnić boga wojny Marsa, od p. Antoniego Marsa, profesora ginekologii we Lwowie i p. Zygmunta Marsa, właściciela browaru w Limanowej). Trzeciego dnia po mojem przybyciu do wsi wesołej, pojawiło się w niej nagle wojsko. A wiecie jakie? Oto nasza obrona krajowa, nasz 16 batalion. Wszak wiecie, jak jest popularny w Krakowie. Wprawdzie tamtejsze łobuzy wołają: „16 za centa“, ale to nie ubliża wcale bitności i sprawności naszej „landwery“.

— Co wy tutaj robicie? — spytałem jednego z szeregowców.

— Będziemy strzelać do „kolonsiajby“.

Dowiedziałem się tedy, poco w góry przyszła piechota, obrona krajowa i nieco konnicy. Niechże sobie strzelają. Nie będę im przeszkadzać, ażeby mnie nie posądzono, że chcę na Austryę ściągnąć w przyszłości Mukden lub coś podobnego. Gdybym mógł, posłałbym czytelnikom „Nowości“ trochę powietrza górskiego, skoro to jednakże niemożliwe, życzę wszystkim pogody, mówiąc: do widzenia w Krakowie przy najbliższym numerze.

K. E.

Aleksander Włoczkowski.

Dziś trudno osądzić, gdzie pan Aleksander Włoczkowski jest bardziej popularną osobistością: wśród lwowskiego *highlifu*, czy na dworze teherańskim. Bo jako restaurator hotelu George'a, umiał się tak głęboko wgryźć w podniebienie i w żołądek gości perskich, że chyba tylko przez wzgląd na niego szach rozgrzeszy nas z win i przeboli te 44.000, ten symbol towianizmu, jaki musiał w złocie i banknotach zostawić Lwowianom na pamiątkę swego tutaj pobytu.

Żart na bok — może szach o całej Galicyi kiepskie mieć wyobrażenie, ale o polskiej sztuce kulinarnej musi mieć dzięki p. Włoczkowskiemu piramidalne pojęcie. To też z wielkim wezyrem o sprawach państwowych a z panem Włoczkowskim o *menu* obiadowem najdłuższe odbywał konferencye. Tak to w onych historycznych dla Lwowa czasach kunszt kulinarny polski rywalizował ze sztuką dyplomatyczną perską — i jeśli dyplomacya teherańska nieraz Anglii lub Rosyi pokazała „perskie oko z koralami,“ to my pokazaliśmy dyplomatom perskim „polski barszcz z uszkami“, który odniósł tryumf niezaprzeczony, bo gdy się szach nim przejadł, mógł — trzymając się za brzuch — jak ów gallijski zwycięzca: *vae victis!* zawołać.

P. Aleksander Włoczkowski urodził się w r. 1866 w Woli Skrzyneńskiej, jako syn obywatela ziemskiego. Szkoły kończył w Brzesku i w Bochni i natychmiast pomaszerował za granicę, głównie w Paryżu, Nicei i Monaco studyując tajemnice kuchni francuskiej. Tę wiedzę swoją spożytkował potem praktycznie u Homolacsów, Branickich, w Rabce i w kasynie szlacheckim w Krakowie. Gdy w r. 1888 następca tronu arc. Rudolf odbywał inspekcye garnizonów galic., p. Włoczkowski, który wtedy odsługiwał służbę wojskową, odkomenderowany został jako kuchmistrz do świty następcy tronu. Odjeżdżając, wręczył mu arcyksiążę zbiór praktycznych, bo w mennicy państwowej wykonanych upominków i mianował go podoficerem. A więc nietylko przez krew na polu wojennem rozlaną można dojść do godności w hierarchii wojskowej.

Kącik humorystyczny.

Kwiatek stylu.

— Sędziwy radca coraz na nowo usiłował gorzką pigułkę niewdzięczności owinąć w opłatek tłomaczenia.

Osobliwe obliczenie.

Opiekun cyrkułowy: Z ilu głów składa się wasza rodzina?

Wojciechowa: Raz z dwunastu, to znów z jedenastu!

— Jakto?

— Bo stary wobec tylu głów czasami traci głowę!



Z wojny ros.-jap.: Panorama bitwy pod Liaojanem, wystawiona na wystawie sztuk pięknych w Tokio.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Od początku wojny nie odnieśli Rosyanie jeszcze ani jednego zwycięstwa. Pisaliśmy już niejednokrotnie o przyczynach tego na pozór dziwnego zjawiska. W ostatnich tygodniach rozpoczęła petersburska „Ruś“ druk obszerniejszej pracy, traktującej właśnie o tym przedmiocie. Ze względu, że artykuł ten pisany jest prawdopodobnie przez jednego z oficerów, znajdujących się na terenie wojennym, przytaczamy poniżej kilka wyjątków.

Jako dewizę swej pracy, charakteryzującą działalność armii rosyjskiej, autor postawił takie wymowne słowa: „Duże sztaby, wielkie obozy, małe zdolności i — olbrzymie klęski“. Oprócz roztrząsań czysto fachowych, znajdujemy tam wiele ciekawych uwag o wyższych oficerach rosyjskich, zwłaszcza sztabowych i o ich „działalności“ na polu wojny.

„Spis oficerów — pisze autor — którzy wchodzą w skład sztabu wodza naczelnego armii — to maleńka. lecz bardzo ważna ze względu na swe znaczenie książeczka. Samych jenerałów do „specyalnych poruczeń“ jest tam z górą dziesięciu. I cóż oni robią? Jedzą, piją, nudzą się z próżniactwa, zajmują się plotkami i w nieskończoność przeciągają najpilniejsze sprawy. A przecież każdy z nich otrzymuje sowite wynagrodzenie, prócz tego zaś różne dodatki według rangi jeneralskiej. Niektórzy poprzywozili na plac boju żony i mieli je przy sobie jako „uprzywilejewane“ siostry miłosierdzia. Od czasu do czasu jenerałowie ci otrzymywali jakieś polecenie i z zaimprowizowanym oddziałem szli, aby się... odznaczyć. I zawsze się odznaczali!

Przy każdym sztabie sterczało 5 adjutantów. Czy byli komukolwiek potrzebni? Nikomu. Przez nich posyłano... ordery i pakunki. Czynność, którą mógłby spełnić doskonale podoficer. Lecz oni znajdowali się przy sztabie z całą swoją świtą, z żonami, z lokajami, z powozami. A pozostawali przy sztabie jedynie dlatego, że byli to ludzie ustosunkowani, którzy chcieli być na wojnie, lecz którym zagwarantowano, że nie będzie to połączone ani z niebezpieczeństwem, ani z trudami. Dla takich „adjutantów“ wojna jest tylko zabawką i służy do zdobywania w łatwy sposób nagród. Za niepowodzenia i klęski czynią oni odpowiedzialnymi tylko żołnierzy i oficerów liniowych — i gorąco zawsze bronią swego zwierzchnika.

„Wielkie sztaby!“ A czy wiecie, że głównodowodzący podpisuje każdy arkusz, przyznający jakąkolwiek „nagrodę“, a dowódcy korpusów i naczelnicy dywizyi własnoręcznie muszą napisać stosowne przedstawienia? Czy wiecie, że chcąc kogo przedstawić do nagrody, trzeba pomyśleć pod jaki paragraf statutu podciągnąć jego zasługę, choćby spełniony czyn był jak najbardziej bohaterski? I dlatego to oficerom sztabowym, znającym wszystkie te tajemnice kancelaryjne, łatwiej zdobyć order, niż czarnym od dymu, miesiącami nie opuszczającym okopów, oficerom liniowym.

I nad takiemi „pracami“ siedzą dzień i noc „sztabowi“, stukują Remingtony, a bladzi, wymęczeni bezsennemi nocami pisarze bez końca zapisują niezliczoną ilość papieru.

A sprawy kolejowe, tak ważne w obecnej wojnie, koncentrują się tylko w kancelaryi. Niech tor będzie zatarasowany wagonami, niech ładunki leżą na stacyach, niech pociągi spóźniają się niemożliwie — kancelarya funkcyonuje prawidłowo, zwierzchność poświęca jej całą swą pracę i wszystko jest dobrze na — papierze! Technicy, niższa służba może oddawać się pijaństwu, brać łapówki — to nie tyczy się wcale zarządu komunikacyi wojskowych, on wie tylko o „papierach“. Z „papierami“ łatwiej sobie dać radę, niż z ludźmi. „Papiery“ — nie piją, nie buntują się, nie skarżą na wyczerpanie!“

W tak dosadny sposób charakteryzuje oficer rosyjski działalność zarządu kolejowego. Charakterystyka ta da się w zupełności zastosować do całego systemu biurokratycznego w Rosyi, gdzie „naczalstwu“ chodzi jedynie o to, aby wszystko było „w porządku“ — na papierze. Prasa rosyjska, która coraz śmielej występuje już z krytyką wodzów i zarządów wojskowych, opisuje teraz bardzo szczegółowo złodziejstwa, jakich się dopuszcza intendantura rosyjska. Z całego szeregu najrozmaitszych dostaw wyjmujemy następujące fakta:

Uciekinier z syberyi, żyd Cymerman, sprzedał władzom rosyjskim 12 zupełnie do niczego nieprzydatnych statków po niezwykle wysokiej cenie. Tenże Cymerman otrzymał zamówienie na dostawę 63.000 par butów dla załogi Portarthurskiej po 13 dolarów para, podczas gdy w Szanghaju para takich samych butów kosztuje 3 do 4 dolarów. Nadto w całej ilości do Portu-Arthura doszło tylko 7.000 par, a pozostałe „gdzieś“ się podziały.

Intendantura otrzymała ofertę na 2.000 pudów dynamitu po 25 rb. pud z dostawą do Mugdenu i zapłatą po otrzymaniu towaru. Ofertę tę odrzucono, natomiast od żyda Korbicy kupiono dynamit po 50 rb. pud bez dostawy.

Dynamit ten nigdy dostawiony nie był.

Amerykanie zobowiązali się dostawić szynkę po 46 centów funt. Odmówiono im i nabyto szynkę z karmionych trupami chińskich świń od żyda Szpicela po 85 ct. funt. Amerykanie proponowali dostawę masła po 40 cent. i tłuszczu wieprzowego po 15 cent. funt. Odmówiono im i nabyto od Cymermana wołowy tłuszcz po 40 cent. funt.

Niedawno powrócił do Petersburga naczelny lekarz Portu Artura. Jest nim Polak, p. Floryan Hłasko. P. Hłasko opowiedział jednemu z dziennikarzy polskich swoje wrażenia z oblężenia Portu Artura mniej więcej jak następuje:

„Żyłem dziesięć miesięcy i trzy tygodnie obok śmierci; zmrużając oczy do snu, myślałem nieraz, że się nigdy nie obudzę. Żyłem wśród bomb i krwi. Czy to życie było straszne? Nie. Zwyczajne życie nie dużego miasta, z jego kłopotami codziennymi. Tylko, że kłopoty były często krwawe. Po rozmowie ze znajomymi, dowiadywałem się w godzinę potem, że bomba urwała im głowy, albo kula przeszyła pierś. Inny znajomy miał przyjść mnie odwiedzić, tymczasem przynoszą mi go po to, abym mu odciął nogę, lub rękę. Co dnia trzeba było słuchać westchnień ludzi konających, zbroczonych krwią. Admirał Withöft zapytywał mnie, czy straszną jest śmierć od pękającej bomby. A nazajutrz właśnie podczas bitwy morskiej bomba rozszarpała go w kawałki. Żołnierze, salutujący mi na ulicy, czasem padali, rażeni odłamem pocisku. Mieszkanie moje zostało rozbite pociskami; trzeba było w chłody mieszkać w szopach. Najbezpieczniejszymi przed nagłą śmiercią czuli się ludzie w szpitalach, pociski nieprzyjaciela starały się je wymijać. — Za to w szpitalach rozciągała swe panowanie śmierć powolna. Słowem, była śmierć tu i tam; śmierć była powszednia i dlatego może nic przerażająca, lecz raczej nużąca... Nocami niebo rozbłyskiwało od ognia dział; w powietrzu rozlegał się syk lecących nabojów, brzęk kul karabinowych; słychać było czasem w porcie głośne okrzyki żołnierzy, walczących na fortach i okopach. Potem ludzie stali się apatyczni, zapadali na szkorbut... Chorych było bardzo dużo... Wreszcie wkroczyli Japończycy.

— A co pan mówi o nich?

— Co mówię o nich? Żwyczajni ludzie, jak wogóle ludzie, np. Francuzi ze wszystkiemi zaletami i wadami człowieka. Nie mają w sobie nic szczególnego. Tacy sami żołnierze i marynarze, jak wszędzie na świecie. Są sumienni w wojennem rzemiośle, staranni w przygotowaniach, mają dobrą organizacyę.—Admirał Szibajama, nowy komendant Portu Artura, zwiedzając mój szpital, uprzejmie podał mi rękę i powiedział kilka grzecznych słów, jak wogóle każdy admirał. Poznałem wielu japońskich lekarzy, którzy składali mi wizyty. Ich sztuka lekarska stoi ani lepiej, ani gorzej od europejskiej. Mówili najczęściej po angielsku. Chce pan widzieć ich bilety wizytowe? Z jednej strony po japońsku, z drugiej czasem po angielsku: dr. T. Omori, dr. K. Iokochi, dr. K. Sudzuki, dr. T. Tsuruda, dr. K. Kajiwara, dr. Jamasaki, dr. K. Takaki (znany uczony), Z. Seiko (z japońskiego Czerwonego Krzyża); wreszcie poznałem naczelnego lekarza cesarsko-japońskiej marynarki T. Yabé. Wszystko uprzejmi ludzie z europejską ogładą. — Dla rozstrzygania wątpliwości przybył do Portu Artura znany uczony, profesor prawa międzynarodowego, p. Nagao Ariga, na którego bilecie wizytowym stoi napis: „Conseiller legal attaché à l'Etat-Major Général de l'armée expéditionnaire en Mandchourie“. Nieporozumień wiele nie mieliśmy, bo punkta konwencyi genewskiej i haagskiej wypełniano ściśle... Dwa miesiące pracowałem jeszcze w Porcie, w moim szpitalu, przy pomocy lekarzy japońskich. Potem przez Na-



Z wojny ros.-jap.: Ulica w Mukdenie po wkroczeni Japończyków do miasta.



Z wojny ros.-jap.: Jeńcy japońscy w miejscowości Medwied w Rosyi: Wyleczeni z ran jeńcy zajmują się w szpitalu wyrobem sztucznych kwiatów.

gasaki i Szanghaj wyjechałem do Ameryki. Stamtąd przez Londyn i Paryż wróciłem do Petersburga...“

W taki sposób opowiada o oblężeniu Portu Artura jeden z jego świadków naocznych, który przez cały czas oblężenia znajdował się w porcie na usługach rannych.

Wobec tego, że w najbliższych dniach rozegra się znowu na polach mandżurskich wielka batalia, do której obie strony nieprzyjacielskie oddawna już się przygotowują, nie od rzeczy będzie zapoznać się ze stanem liczebnym armii japońskiej. Wedle obliczeń pisma rosyjskiego „Russkij Inwalid“ na podstawie dat prawdopodobieństwa, armia japońska składa się z 19 dywizyj i 22 brygad piechoty, oraz 17 pułków kawaleryi prócz rezerw.

Na poszczególne armie przypada:

1. armia (Kuroki) tworzy prawe skrzydło głównej siły japońskiej i składa się z trzech dywizyj (gwardya, nr. 2 i nr. 12) i 6 brygad rezerwowych, prócz tego jeszcze i dwóch nowosformowanych dywizyj, razem z 108 batalionów o sile 120.000 ludzi.

2. armia (Oku) tworzy lewo skrzydło i składa się z 4 dywizyj (5, 4, 5 i 8), dwóch nowosformowanych dywizyj i 4 brygad rezerwowych, razem 104 batalionów o sile 115.000 ludzi.

3. armia (Nogi), skrajne lewe skrzydło, 3 dywizye (1, 7 i 9), jedna nowo sformowana i 4 bry-



Z wojny ros.-jap.: Jeńcy japońscy w miejscowości Medwied w Rosyi: Jeńcy zajmujący się wyrobem artystycznych zabawek z drzewa.



Z wojny ros.-jap.: Jeńcy japońscy w miejscowości Medwied w Rosyi: Sale ciężko rannych jeńców w szpitalu medwiedzkim.

gady rezerwowe, razem 80 batalionów o sile 90.000 ludzi.

4. armia (Nodzu), w środku, 2 dywizye (6 i 10) i 2 brygady rezerwowe, razem 40 batalionów o sile 45.000 ludzi.

5. armia (Kawamura) skrajne prawe skrzydło, dywizya nr. 11, jedna nowo sformowana i 6 brygad rezerwowych, razem 72 batalionów o sile 80.000 ludzi.

Gdy się doda do tego nową armię w Korei (Hasegawa), to siły Japonii wynoszą około 600.000 ludzi. Ilościowo więc Japończycy przewyższają Rosyan, a jakość wojska trzeba także przecież wziąć pod uwagę.

Japończycy zdobyli sobie w czasie toczącej się wojny kilkadziesiąt okrętów handlowych, przychwyconych na kontrabandzie. Urzędowy organ ministerstwa marynarki rosyjskiej „Kotlin“, wychodzący w Kronsztadzie, podaje następujący spis tych okrętów: Z rosyjskich okrętów zabrali Japończycy na stępujące: „Mukden“, „Arguń“ i „Mandżurya“, należące do zarządu kolei wschodnio-chińskiej; „Jekaterynosław“, należący do floty dobrowolnej; „Mandżurya II“, należąca do Towarzystwa żeglugi rosyjsko-wschodnio-azyatyckiej, oraz okręty prywatne: „Rosya“, Mikołaj“, „Aleksander“, „Michał“, „Kotik“, „Juliada“, „Lesnik“, „Nadzieja“, „Bobrik“ i „Torria“, razem tedy okrętów handlowych rosyjskich 15. Okręt francuski pochwycony został tylko jeden „George“. Okrętów niemieckich sześć: „Fuping“



Z wojny ros.-jap.: Jeńcy japońscy w miejscowości Medwied w Rosyi: Jeńcy zabawiają się grą na rodzimych instrumentach.

„Parosz", „Sewerus", „Romulus", „Wilhelmina". (Ten ostatni okręt był faktycznie holenderskim). Okrętów angielskich 17: „King Arthur", „Nigrettia", „Rosseby", „Lethingotn", „Bawtru", „Uakbu", „M. S. Dollar", „Wyefield", „Pollo", „Seotsman", „Sylwania", „Powderman", „Easlig", „Abbey", „Venus", „Aphrodite" i „Harbaton". Okrętów austryackich dwa: „Burza" i „Siam". Okrętów szwedzkich cztery: „Wegga", „Industrie" (ratunkowy), „Tacoma" (faktycznie amerykański) i „Henry Bolckow" (faktycznie norweski). Ogółem tedy w rękach japońskich znalazło się 55 okrętów handlowych ogólnej pojemności 136.489 tonn, że zaś sądy morskie w Japonii orzekły niesłuszność konfiskaty jedenastu parowców pojemności ogólnej 27.589 tonn, przeto pozostały im jeszcze 44 okręty pojemności ogólnej 108.909 tonn zarejestrowanych.

Na illustracyach naszych przedstawionych jest kilka scen z życia jeńców japońskich w osadzie rosyjskiej Medwied, gdzie znajduje się również i szpital dla rannych. Szpital ten pod względem urządzenia nie odpowiada ani w części szpitalowi japońskiemu np. w Sascho, którego opis podaliśmy w jednym z poprzednich numerów, a który jest wzorem wzorowo urządzonego szpitala. Jest to jednakże w każdym razie jeden z lepszych szpitali rosyjskich. Jeńców japońskich jest tam około 500. Lżej ranni albo już całkiem zdrowi zatrudniają się wyrabianiem artystycznych cacek z drzewa, w czem im nikt nie dorówna. Rzeczy, ktore wychodzą z ich rąk, takie np. małe okręciki, barki, to wszystko pod względem artystycznego wykończenia są rzeczy doskonałe. Trudnią się również wyrobem kwiatów sztucznych.

Na zakończenie przytaczamy japoński hymn wojenny. Ułożył go generał Fukuszima. Jest to pieśń, która zapala Japończyków i stała się dla nich pieśnią bojową. Według dosłownego tłómaczenia brzmi ona następująco:

Na pięknym świecie
Istnieje ojczyzna japońska,
W blaskach Wschodzącego słońca
Lśni się jej słoneczny sztandar.
Jej wielki władca,
Potomek odwiecznej dynastyi,
Rozkazuje obecnie
Pięćdziesięciu milionom poddanych.
Państwo jego wspiera się
Na miłości ludzkiej i sprawiedliwości;
Poszanowaniem praw i męstwem,
Naród jego góruje ponad wszystkiem.
Naprzód żywo i śmiało,
Zuchy!
Już rżą nasze konie
W powietrzu wiosennem!
W wojnie ma słuszność i prawo
Niema niezgody.
Taka wojna
To szczyt radości!
Port Arthura i Charbin
Zdobędziemy szturmem,
Od gór Uralskich
Do krańców Wschodzącego Słońca.
Rozwiniemy sztandar,
Słowian przepędzimy
Do ich strarej stolicy,
Do Moskwy!
Do granic dzikich lasów
Odrzucimy,
Dobitnie damy znać
Światu całemu
O wielkości i blasku
Naszego monarchy.
Wówczas dopiero
Będziemy się napawali
Własnym pobojem.

KRONIKA LWOWSKA.

(Wielki głos z ratusza. – Objawienie ducha Lwa. – Dym z komina. – Wolno spytać – Dlaczego Michalski, a nie kto inny. – Czy trzeba prawnika? Dlaczego nie potrzeba bywalca. – Wieża Babel, a wieża ratuszowa. – Wyleczone bezhołowie. – Powitanie artystów. – Co mówi nasza publiczność? – Colosseum i jego „ogród". – Co się pisze? – Reklama. – Komunikat w dziale redakcyjnym. – Czterej dyrektorowie. – Podwyższone ceny na rannych Japończyków. – Korrupcya prasy. – Jak się zatyka gębę opinii. – Kontrast. – Strzelanie redaktora. – Co nie uchodzi).

Wielkim głosem zawołano do nas z ratusza: „*Annuntio vobis gaudium magnum — habemus papam!*". I wyszedł z urny prezydentem miasta IMĆ pan Michał Michalski.

Cały wybór pana Michalskiego był doprawdy aktem nadprzyrodzonym i wyraźnem objawieniem ducha Lwa, praszczura naszego grodu. Długo duch ten nie chciał natchnąć wysilających się gwałtownie rajców miejskich, myślą płodną, myślą twórczą, której formą łańcuch, a treścią 20.000 koron rocznie, aż panowie ojcowie zamknęli się w *conclave*, a nad ich głowami zawisł biały gołąb i wymówił imię słodsze nad miód.

„Michał Michalski!"

Z kominów ratusza buchnął dym. Znawcy prawa kościelnego twierdzili, że to tradycyjny dym ze spalonych kartek wyborczych, ale jeneralny mistrz kominiarski, który dominuje nad wszystkimi kominami ratusza, wytłómaczył wszystkim, że to tak natchnienie kurzy się z czuba p. Michalskiego i unosi się aż pod niebiosa.

Niezbadane są wprawdzie drogi, któremi Opatrzność nas prowadzi, ale tak, jak pobożnemu żydowi wolno w codziennej modlitwie zapytać Stwórcy, dlaczego stworzył kobietę z żebra, a nie z czego innego, tak samo wolno nam lojalnym podatnikom spytać naszych ojców miejskich, dlaczego sternikiem miasta, mieszczącego w sobie wszechnicę, politechnikę, legiony szkół, bataliony prefesorów, adwokatów, artystów, uczonych, urzędników kolejowych, feldwebłów, finanswachów, dyrektorów Colosseum, restauratorów, miłośników sztuki, reporterów dziennikarskich, tresowników zwierząt, aptekarzy, fabrykantów pierników i fortepianów, komendantów straży ochotniczej i innych europejczyków — dlaczego w takiem mieście wybrano prezydentem właśnie mistrza Michała Michalskiego, a nie kogo innego?

Mówiono, że miastu potrzeba prawnika... Farsa! Wszak i Mojżesz i Solon i Lykurg i Konfucyusz i Teofrastus Bombastus, Paracelsus także nie studyowali na wszechnicy i nie brali nominów i frekwentacyj, a przecież imiona ich błyszczą na kolumnie prawodawców. Stworzył Mojżesz kruche tablice kamienne, to wykuje p. Michalski tablice żelazne.

Mówiono, że miastu potrzeba polyglotty, bywalca, który mógłby miasto reprezentować na zewnątrz... Farsa! Przypomnijcie sobie los budujących wieżę Babel. Wszak tam właśnie wiele języków stanęło na zawadzie wzrostowi wiekopomnej wieży. A nasz prezydent zna za to wybornie gwarę lwowską, łyczakowską, tak popularną „u Lwowi", sam podkuł się na wszystkie cztery nogi i pójdzie mosterdziku ratusz w górę, ażeby świecić i rzucać światło hen, daleko, gdzieś aż na Wysoki zamek... a widzisz!

Zdaje mi się, że po tem wyjaśnieniu uspokoi się najczarniejszy pessymista i ułoży się spokojnie do lojalnego snu u stóp nowego prezydenta.

Tak więc stolica kraju, która od jakiegoś czasu chodziła bez głowy, wyleczyła się z bezhołowia i przyprawiła sobie ten bądź co bądź czasem potrzebny członek.

Jeszcze przedtem powitaliśmy naszych artystów, którzy wrócili z Kijowa, a za nimi echa nadzwyczajnych tryumfów. Poprostu, mało ich nie zjedli z zachwytu. Sala teatralna chciała koniecznie pęknąć, tryumf na całej linii. Oklasków i kwiatów, a nawet upominków – w bród.

Ci sami artyści wrócili do Lwowa i grają przed pustemi krzesłami. Publiczność lwowska powiada: grajcie i u nas raz na czterdzieści lat, to my wam pokażemy, jak się chodzi do teatru i co się robi z artystami. *Vide* Paderewski! My bo teraz chodzimy do Colosseum, gdzie produkują się Japończycy i Negrzy. Cała prasa przepełniona komunikatami i recenzyami japońskiemi — nawet w dziale redakcyjnym. Buda Colosseum wali się w proch podczas niepogody — bo podczas pogody gra się w „ogrodzie" t. j. na wilgotnem, cuchnącem powietrzu, gdzie zatknięto dwa drzewka zwiędłe, a gdzie publiczność lwowska zachwyca się Japończykami, o których tyle już naczytała się w prasie. A jak ta prasa o tem pisała... proszę czytać:

„Po wielu latach czekania, po licznych trudach, z narażeniem życia naszego dyrektora artystycznego, który nawet nie jest ubezpieczony od wypadku, udało się dyrektorowi Hermanowi Nr, 1. przy pomocy dyrektora artystycznego Nr. 2. wysłać dyrektora artystycznego p. Franziaka, w zastępstwie dyrektora artystycznego p. Majbluma do Londynu, Paryża, Pekinu, Kołomyi, Sztokholmu, Chrzanowa i Nowego Jorku, ażeby szukał Japończyków, których wszyscy czterej dyrektorowie szukają już od szeregu lat, jeszcze zanim założono Colosseum, a którzy (japończycy, a nie dyrektorowie) są już naprzód zaangażowani na trzydzieści i sześć lat, do największych teatrów nadwornych. Tak więc gonili nasi dyrektorowie owych Japończyków może sześć lat! Tymczasem jeden z teatrów nadwornych niespodzianie zapadł się, czy zbankrutował, a nasi dyrektorowie wyjechali wszyscy czterej do samej Ameryki, a potem nawet do Japonii... i z ciężką biedą udało im się przy znanych wpływach naszego dyrektora artyst. p. Majbluma, który nawet z ministrami i konsulami miał sposobność o tem mówić, przyłapać Japończyków na krótki czas przy podwyższonych cenach wstępu. Radzimy korzystać P. T. publiczności z tej rzadkiej sposobności, bo do teatru można będzie pójść potem, a Japończyków gotowi powołać na plac boju. Było ich dawniej dwunastu, a zostało tylko pięciu, bo jeden na wojnie został generałem, trzech zdobyło Port Artura, a sześciu walczy pod Mukdenem w randze oficerów. Dyrekcya Colosseum przeprasza Szan. P. T. Publiczność, że ze względu na potrzebę pieniędzy dla rannych towarzyszy japońskich, jako też z powodu strasznych kosztów, od których naszym czterem dyrektorom stają na głowie włosy do góry nogami, ceny miejsc coskolwiek (o 75%) będą podwyższone. Dyr. Herman nr. 1. m. p., Dyr. Herman nr. 2. m. p., Dyr. art. Franziak m. p. i Dyr. najartystyczniejszy M. Majblum m. p.

Tak więc nasze życie artystyczne grupuje się obecnie w „ogrodzie" Colosseum, a w teatrze przerażające pustki. Najciekawsze tylko to, że cała prasa codzienna dała się przekupić, nawet „Kurjer lwowski", który jedyny przynajmniej do niedawna, nie ogłaszał komunikatów i recenzyj z Colosseum, po imieniu pisząc, że jest to tyngiel, który wyłudza grosz od głupiej publiczności i wypycha kieszenie różnym zagranicznym, przeważnie niemieckim, tynglówkom i akrobatom. Ażeby zatkać gębę opinii, wstawia się w program jakiegoś zachrypniętego kuplecistę polskiego, a prasa z „uznaniem" to podnosi. Colosseum niech sobie będzie miejscem rozrywek dla tych, którzy i bez prasy tam pójdą, ale prasie codziennej nie wolno zachwalać tego rodzaju instytucyi i zachęcać ludzi do wyrzucania grosza na „podwyższone" wstępy, choćby nawet za anons lub gratisowy bilet. To jest rażący kontrast między teoryą, a praktyką, jeśli się w tym samym numerze gazety pisze „popierajmy swoich", a o kilka wierszy niżej pisze się: „idźcie popierać szwabów, murzynów, francuzów".

Tyle prasie codziennej *ad memoriam*.

Senzacyą ubiegłego tygodnia była demonstracya, urządzona „Słowu polskiemu" i postrzelenie akademika przez jednego z redaktorów tego pisma. O tem piszecie na innem miejscu. Tu tylko pozwolę sobie zauważyć, że z jakiegokolwiek punktu chciałby kto się zapatrywać na to zajście, uznać musi fakt użycia broni za niewłaściwy. Obrona konieczna nie była w tym wypadku usprawiedliwiona, bo użyto broni po demonstracyi, a zatem nie represyjnie, tylko chyba prewencyjnie, ażeby odstraszyć na przyszłość... To nie uchodzi nawet redaktorowi...

Kącik humorystyczny.

— Moja żona jest zawsze zdrową, dzięki naszemu domowemu lekarzowi.

— Czy on rzeczywiście tak ją dobrze leczy?

— Nie, tylko jest tak niegrzeczny, że ona boi się go wzywać.

Wystarcza.

Pan: Cóż to wylegujesz się po kanapach! Cóżeś tak naprzykład całe przedpołudnie robił?

Służący: Przepraszam pana! Na dwa tysiące pięćset siedmdziesiąt sześć rubli wierzycieli wyrzuciłem za drzwi.

Troski zawodowe.

— Czy to warto mężusiu dla trzydniowego wyjazdu brać zastępcę?

Mąż (doktór): Tego ty duszko nie rozumiesz. Zaledwie człowiek się odwróci a już mu chory skrewi i wyzdrowieje.

Przykre objaśnienie.

Przed wystawą fotografa:

Anusia: Tego jegomośćia na tej dużej fotografii to znam.

Franusia: I ja również. Gdzież to go widziałam?

Anusia: Na pewno z nim już rozmawiałam!

Franusia: I ja, bezwarunkowo!

Przechodzień: Dokładnie mogę panie objaśnić- To kasyer lombardu przy ulicy Iks!

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

9 (Ciąg dalszy).

I doktor Harras podał Helenie stary pożółkły wystrzępiony pergamin, który widocznie leżał już przygotowany na jego biurku. Ale młode dziewczę odsunęło z wstrętem ten akt od siebie.

— Dobrze! — rzekł spokojnie ceniony adwokat — jesteś pani zanadto wzruszoną, aby odczytać ten dokument, więc ja sam zapoznam panią z jego treścią! Ten akt brzmi następująco:

„Ja, niżej podpisany, Rudolf Ferdynand Jeży Springer oświadczam stanowczo, że stosownie do ostatniej wiadomej woli mojego ojca zrzekam się wszelkich praw do spadku przezeń pozostawionego i przyjmuję prawnie mi, jako wydziedziczonemu, przynależną część w kwocie piętnastu tysięcy dolarów. To moje zrzeczenie obowiązuje także i moich spadkobierców. Oprócz tego zaznaczam, że oświadczenie to składam całkiem dobrowolnie, a za autentyczność mego podpisu gwarantują, niżej podpisani świadkowie i pieczęć urzędowa adwokata doktora Harrasa.

Podpisano:

Franciszek Springer. Rudolf Springer. Dr. Paweł Harras“.

— Rozumie pani chyba. — ciągnął powoli dalej doktor Harras — że Rudolf Springer odrazu zgodził się na ten warunek, tem bardziej, że jego brat był na tyle szlachetnym, iż wcale nie upominał się ani o tę sumę, która znikła owej smutnej nocy z biurka jego ojca, ani też nie domagał się, żeby pokrył z owych piętnastu tysięcy dolarów to, co... przepraszam za wyrażenie... zdefraudował i co wywołało całą katastrofę. Franciszek oprócz tego żądał jednej rzeczy; oto, aby jego brat jak najprędzej opuścił rodzinne miasto! Żądał tego, ale dał mu zarazem przyrzeczenie, że przyjmie go z otwartemi rękoma, gdy się tylko poprawi i gdy świat puści w niepamięć już to wszystko, co się stało. Rudolf oświadczył wówczas, że jeszcze za życia ojca miał zamiar wyjechać do Ameryki i że warunki podane mu przez brata akceptuje z wdzięcznością. Zgodził się przytem na moją propozycyę, aby owych piętnastu tysięcy talarów nie brać od razu, lecz zostawić je pod opieką brata, który z drugiej strony przyrzekł mu, że pieniądze te każdej chwili będą na jego rozkazy. Jeśli zatem ojciec twój, moje dziecko — a proszę cię uważaj dobrze, co mówię — jeśli zatem ojciec twój mówił ci kiedy o jakichś kapitałach, które dał bratu do przechowania, to pewnie miał na myśli... tylko owe piętnaście tysięcy talarów!...

W godzinę po ukończeniu tej naszej tajemnej konferencyi, ojciec twój siedział już w pociągu zdążającym do Hamburga. Gdy wkroczył sąd, testamentu wprawdzie nie było, ale ja pod przysięgą zeznałem, jaki kodycyl kazał mi zmarły spisać na jeden dzień przed swoją śmiercią i stryj twój został uznany za uniwersalnego spadkobiercę. Że zaś twój ojciec dobrowolnie wyjechał do Ameryki, w to uwierzyło całe miasto, tembardziej, że wkrótce po jego wyjeździe wyszła na jaw całkiem inna sprawa, o której ci nawet wspominać nie chcę! A wkrótce Bóg wie jakim sposobem, bo ani ja, ani twój stryj nie wspominaliśmy o tem przed nikim, rozeszły się po mieście pogłoski o nowych zajściach familijnych, o których przed chwilą ci wspominałem i wywołały tak wielkie wzburzenie wśród wszystkich obywateli, że doprawdy byliśmy niemało zadowoleni z tak spiesznego wyjazdu twego ojca. Jak zaś Rudolfowi powodziło się na drugiej półkuli, o tem nie będę wspominać, bo ty wiesz bez wątpienia lepiej o tem. Przypadkowo tylko dowiedzieliśmy się, że się ożenił i to z bardzo zacną kobietą. Ale jego finansowe stosunki nie musiały być bardzo świetne, bo wciąż zwracał się do Franciszka i wciąż raz po raz żądał od niego pieniędzy tak, że tylko bardzo skromna sumka pozostała ci z tych piętnastu tysięcy. Rachunki, dziecię moje, każdej chwili, nawet teraz, możesz przeglądnąć i listy, które pisywał twój ojciec, a w których żądał nieraz i telegraficznych przesyłek i kwity na otrzymane pieniądze...

Na tem muszę skończyć moje opowiadanie, ale zwracam się pani do ciebie tak, jakbyś była mojem własnem, rodzonem dzieckiem z prośbą: nie gniewaj się na starca, którego twój ojciec serdecznie kochał, a który musiał zadać ci ból, choćby dlatego tylko, abyś poznała, jakiem jest to nasze życie i abyś umiała dalej pokierować sobą. A potem... wiesz teraz, co twój ojciec miał do zawdzięczenia twemu stryjowi, który cię przyjął z otwartemi ramionami i który spodziewa się z twej strony, jeśli już nie miłości, to przynajmniej wdzięczności. Że zaś według praw naszych dopiero za trzy lata możesz być pełnoletnią, musisz wybrać sobie opiekuna i bardzo byłoby mi przyjemnie, gdybyś mnie obdarzyła tą godnością, jeśli jednak wolisz, to powierz ten urząd twojemu stryjowi Franciszkowi!...

Helena, która z twarzą, ukrytą w dłoniach, słuchała tego opowiadania, zerwała się z fotelu, jak gdyby nastąpiła na jadowitego węża.

— Nie! — zawołała stanowczo — niech kto chce będzie moim opiekunem, byle tylko nie pan Franciszek Springer! Jeśli pan na razie zechcesz przyjąć te obowiązki na siebie, to będę bardzo wdzięczną, zwłaszcza, że nie będę pana długo kłopotać moją osobą, gdyż przy najbliższej okoliczności powrócę do Ameryki!...

— I o tem pomyślimy, moje dziecię — rzekł słodko doktor Harras — a tymczasem bądź łaskawą i podpisz to podanie. Jest to prośba do tutejszych władz sądowych o zamianowanie mnie twoim opiekunem.

Podał Helenie pióro i arkusz zapisanego papieru, który ona, nawet nie czytając, bez żadnych skrupułów podpisała.

— Tak! dobrze, moja droga — rzekł adwokat, wkładając papier do koperty, na której był już wypisany adres — teraz jesteś już pod moją opieką, pod opieką uczciwego i szanowanego obywatela, który potrafi zmusić do milczenia nędznych plotkarzy, gdyby chcieli bawić się twoim kosztem i pleść o twym ojcu niestworzone historye!...

Helena dumnie podniosła głowę do góry.

— Dziękuję panu za tę obietnicę, panie doktorze, ale ja nie boję się ani plotek ani pogardy ze strony ludzi, którzy wydali wyrok potępienia na mego ojca, wyrok niesprawiedliwy, bo ja go dobrze znałam i wiem, że jeśli już fakty przytoczone przez pana są choć w części prawdziwe, w co niestety muszę wierzyć, bo zmarły dziś bronić się nie może, to jednak jestem święcie przekonana, że nie brudna żądza złota popchnęła go do tego! Jak długo pamięć moja sięga, tak zawsze składał on dowody bezinteresowności i poświęcenia się dla drugich; był opiekunem ubogich i uciśnionych i do rozpaczy doprowadzało go, gdy nie był w stanie spełnić jakiejś prośby bliźniego. I on byłby w stanie kłamać, kraść i oszukiwać?!... Nie, panie doktorze! W to ja już nigdy nie uwierzę! A z drugiej strony, choćby on, nie wiem co, popełnił, ja go się nigdy wstydzić nie będę, nigdy go się nie wyprę. Ci ludzie, którzy z obawy przed panem mają zamilknąć, niech mówią, co im się podoba, niech mną pogardzają! Ja mimo to z dumą powiem każdemu, że jestem córką Rudolfa Springera!... Żegnam!...

Helena opuściła pokój doktora, nie podając mu nawet ręki. Siwobrody starzec w pierwszym pokoju skwapliwie pospieszył, aby otworzyć jej drzwi, prowadzące na korytarz i przyglądał się bacznie przez swoje ciemne okulary, a dojrzawszy na jej twarzy wyraz smutku i głębokiej boleści, popadł w dziwne wzruszenie. Ręce drżały mu, głowa łysa trzęsła się na wszystkie strony, gorączkowy rumieniec zabarwił mu policzki, a usta zaczęły się poruszać, jakby chciały coś wyszeptać. Ale widocznie starzec wnet inną jakąś myśl powziął, bo skłonił się dziewczęciu ze szacunkiem i zamknąwszy drzwi w milczeniu, powrócił na swoje miejsce.

W złych rękach.

Smutne dni nastały teraz dla biednej sieroty, która nadaremnie starała się oswoić ze swem otoczeniem i mimo wszelkich udanych czułości krewnych, uważała się poprostu za intruza w tej dobranej familii. Ze stryjem spotykała się tylko przy wieczerzy i tu zauważyła, że wszystkie jego okrzyki pełne zapału, którymi tak szafował w Hamburgu, były pustą blagą, bo obecnie, nietylko nie wspominał o zmarłym bracie, ale nawet wobec niej był jakiś szorstki i chmurny. Jeszcze gorszy był jej stosunek ze stryjenką. Ta przesadzała się wprawdzie w czułościach, co chwila tuliła ją do swej piersi, ale też ani na minutę nie spuszczała z oka, i wciąż odzywała się uszczypliwie o jej ojcu. A Helena musiała to wszystko znosić i nie mogła ani słowa powiedzieć, bo nie miała jeszcze pojęcia, jak stoją jej sprawy majątkowe. Wiedziała wprawdzie, że w Ameryce ojciec jej stał na czele wielkiego przedsiębiorstwa handlowego i że uważano go tam za bardzo zamożnego człowieka. Pamiętała dobrze, że im nigdy na niczem nie zbywało i że była otoczona wygodami tego rodzaju, na które trzeba dość pieniędzy — ale też na tem kończyły się jej wiadomości.

Nie troszczyła się bowiem nigdy o to, jak wielkim był majątek jej ojca i gdzie zmarły składał swoje oszczędności, a dziwnem jakiemś zrządzeniem losu wśród papierów, jakie po zmarłym pozostały, znaleziono wszystko, nawet owych sześć tysięcy koron, o których nie wiedziała, ale natomiast nie znaleziono żadnych wskazówek, gdzie przechował resztę swego majątku. A że Rudolf Springer posiadał majątek i to nie byle jaki, nie było najmniejszej wątpliwości! Helena pamiętała dobrze, że jej ojciec, na krótki czas przed wyjazdem z Ameryki, sprzedał swój dom wraz z całem urządzeniem i otrzymał tytułem ceny kupna bardzo znaczną sumę. Prócz tego zaś miał grosz zaoszczędzony, bo o tem często wspominał i albo go gdzieś w bezpiecznem miejscu musiał przechować, albo też ktoś w zbrodniczy sposób pozbawił go tych oszczędności, bo śladu z tego nie pozostało i brakło wszelkich wskazówek, chociaż jaknajdokładniej przeszukano kufry zmarłego.

Wobec tego doktor Harras, który z urzędu został już zatwierdzonym na opiekuna Helenki, po stanowił o majątku Rudolfa Springera zasięgnąć wiadomości w Ameryce, a tymczasem majątek biednej sieroty składał się tylko z owych sześciu tysięcy marek i z tej reszty po piętnastu tysiącach talarów, reszty, której wysokości Helena nigdy nie znała, a malała z dnia na dzień wraz z opowiadaniem o niej!...

W takich okolicznościach wszyscy musieli uważać za coś niezwykłego, że uboga sierota, prawie nędzarka, była przyjmowaną w domu stryja z takiemi honorami. Ludzie, którzy chętnie zajmują się wszystkiem a specyalnie tem, co dzieje się w domu bliźnich, przyznali, że pomylili się, uważając bogatego kupca za kutwę, który zdzierał skórę ze swych dłużników i nikomu nigdy niczego dobrego nie wyświadczył. Równocześnie ożyły stare plotki o nagłej śmierci Rudolfa Springera i o wszystkich wypadkach, które bezpośrednio po niej nastąpiły — lecz plotki ubrane w nową szatę sensacyi i stylowej ornamentyki. Ktoby zaś był dobrze uważał, ten byłby zaraz spostrzegł, że i doktorowi Harrasowi i całej familii Springerów więcej zależy na rozdmuchiwaniu tych fałszywych wieści, jak na położeniu kresu bajaniom ludzkim. A mówiono i opowiadano rzeczy niesłychane, nawet przysięgano się, że Springer zaraz pierwszej nocy po przyjeździe do ojczyzny, wszystkie swe oszczędności przegrał w jakiejś portowej spelunce i potem powodowany niewczesnym żalem sam sobie życie odebrał!...

Skąd wzięła się ta ostatnia potworna plotka, nikt tego nie wiedział, ale nikt też jej nie zaprzeczył i dlatego po pewnym czasie uważano ją za pewnik. Wobec tego nikt nie mógł brać za złe Helenie, że coraz bardziej tęskniła za swą wolną ojczyzną. Zrazu milczała i nie wspominała nawet o tem, bojąc się, aby jej nie posądzono o niewdzięczność, ale skoro poznała, że pod pozorami przyjaźni cała rodzina Springerów kryje swą nienawiść ku niej, postanowiła otwarcie wypowiedzieć swoje życzenie. Spodziewała się, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, ale Albertyna, która pierwsza posłyszała o tem, zaczęła płakać i oświadczyła, że byłaby niepocieszoną, gdyby tak prędko postradała nową kuzynkę. Stryjenka Amelia przybrała bardzo poważną minę i zaczęła wcale wyraźnie przebąkiwać o czarnej niewdzięczności dzisiejszej młodzieży, a stryj Franciszek, kiedy pewnego wieczoru Helena wyjawiła mu swój zamiar całkiem otwarcie i spokojnie, powiedział, że byłoby mu bardzo przykro pożegnać swoją bratanicę i że podobnego kroku nigdy się z jej strony nie spodziewał, ale, że nie będzie mieć nic a nic przeciwko tej podróży, jeśli tylko doktor Harras, opiekun Helenki, da jej na to swoje zezwolenie.

— Zdaje mi się, stryju — rzekło dziewczę — że ja tego pozwolenia całkiem nie potrzebuję. Nie jestem dzieckiem i nikt niema prawa mnie zatrzymywać, jeśli chcę porzucić obcy mi całkiem kraj, w którym znalazłam tylko ból i cierpienie, tem bardziej, że chcę powrócić do mej ojczyzny!...

— Dobre to jest może według amerykańskich pojęć! — odpowiedział Franciszek Springer — ale według naszych praw do dwudziestego roku musisz być posłuszną rozkazom opiekuna i bez jego zgody, bez jego pozwolenia nie wolno ci zmieniać miejsca zamieszkania!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Legenda o Św. Piotrze.

(Dokończenie).

A było tak dużo skazanych. Cała przepaść zdawała się być zapełnioną samemi ciałami i głowami.

Piotra ogarnęło nowe wzruszenie.

— Nie znajdę jej!

I znowu wątpił.

Anioł rozwarł skrzydła i latał nad przepaścią szukając kogoś.

Nagle jeden ze skazanych spostrzegł anioła i wyciągając do niego ręce, błagał.

— Weź mnie! Weź mnie stąd!

Wówczas cała masa cierpiących poruszyła się.

Miljony miljonów cierpiących w piekle rzuciły się ku aniołowi i wyciągając ręce błagali o miłosierdzie, aby zabrał ich stąd do raju, schroniska błogosławionych.

Krzyki cierpiących dochodziły do Zbawiciela i Św. Piotra i serca ich drżały litością i cierpieniem.

Anioł unosił się nad przybytkiem mąk, a za każdem jego poruszeniem fala cierpiących pochylała się w jego stronę — jakby poruszana wiatrem.

Nareszcie anioł znalazł tę, której szukał. Złożył skrzydła i jak piorun rzucił się na dno przepaści.

Z piersi Św. Piotra wydarł się okrzyk radości gdy ujrzał, że anioł niesie jego matkę.

— Bądź błogosławiony Ty, który wracasz mnie matkę!

Ale Zbawiciel położył łagodnie mu rękę na ramieniu, jakby, chcąc wstrzymać przedwczesną radość.

Piotr gotów był płakać ze szczęścia na samą myśl, że jego matka będzie uratowaną — gdy nie mógł przenieść myśli rozłączenia z nią na zawsze. Radość jego zwiększyła się jeszcze, gdy ujrzał, że pomimo szybkości, z jaką anioł porwał jego matkę, kilku jeszcze skazanych zdążyło uczepić się anioła.

A było ich dwunastu i Piotr cieszył się, że aż tyle cierpiących jego matka będzie miała uratować.

Co zaś do anioła, ten niczem nie wyrażał swego protestu; zdawało się, że wcale nie odczuwa ciężaru i skrzydła jego poruszały się tak lekko, jak gdyby niósł do nieba małego ptaszka.

Ale nagle Św. Piotr spostrzegł, że jego matka stara się uwolnić od tych nieszczęsnych, którzy się jej uczepili.

Chwyta ich za ręce, rozdziera im palce i nieszczęśni jeden za drugim padali — znowu na dno przepaści.

Św. Piotr słyszał ich błagania, ale stara była niewzruszoną, widocznie nie chciała, aby ktoś więcej prócz niej mógł być zbawiony.

Strącała bezlitośnie znowu w dolinę śmierci i smutku, a oni, spadając, złorzeczyli i ich przekleństwa napełniały powietrze.

Wówczas Piotr zaczął błagać matkę żeby zlitowała się nad nimi, ale ona nie chciała słyszeć.

Im więcej zmniejszał się ciężar dźwiganych do raju — tem wolniejszym stawał się lot anioła i serce Piotra napełniało się strachem, nogi pod nim zadrżały — upadł na kolana.

Przy matce został już tylko jeden skazany.

Była to młoda kobieta. Trzymała mocno rękami staruszkę za szyję, a przytulając usta do jej ucha błagała gorąco, aby ją uratowała i nie dała jej zginąć.

Anioł był już tak blisko, że Św. Piotr wyciągnął rękę, aby pochwycić w objęcia matkę. Już byli tuż, tylko parę poruszeń skrzydłami i anioł stanie na górze.

Ale naraz skrzydła anioła zmartwiały, twarz pokrył cień smutku, podobnego do ciemnej nocy.

Staruszka, podnosząc ręce z całych sił starała się wyswobodzić z silnych objęć nieszczęsnej kobiety. Walka była krótka, ale pełna rozpaczy.

I kiedy ostatnia kobieta zwyciężona siłą staruszki została strąconą do piekła, anioł zniżył lot i skrzydła jego opadły bezsilnie.

Spojrzał ze smutkiem na staruszkę.

I nagle ręce, w których trzymał ją, rozwarły się i upuścił ją, jak gdyby jedna — była dla niego ciężarem nad siły.

Potem poruszył silnie skrzydłami i stanął w raju.

Św. Piotr milczał, tylko straszne łkania szarpały jego piersi. Zbawiciel stał przy nim.

— Piotrze — rzekł On:

— Nie mogłem wyobrazić sobie, żebyś ty, będąc w raju, mógł tak gorzko płakać.

Stary sługa podniósł oczy na Zbawiciela i rzekł.

— Jaki to raj, jeśli ja, przebywając w nim słyszę skargi i jęki moich ukochanych braci.

Oczy Zbawiciela, napełniły łzy cierpienia i niemocy.

— Alboż nie chciałem dać wam raju doskonałego, zupełnego szczęścia?

— Czy zrozumiałeś teraz, dlaczego zstąpiłem na ziemię, aby uczyć naród miłości bliźniego. Albowiem dopóki nie nauczą się kochać bliźnich swoich jak samych siebie, nie będą mieli ucieczki ani na ziemi ani w niebie, gdyż zawsze pójdzie za niemi cierpienie ich braci.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.

Szarada.

Pierwsza, zwykła sobie głoska
W każdej gramatyce,
Oprócz tego też stanowi
Ważny ton w muzyce.
Druga, *trzecia*, jeśli związek
To w szlachetnym celu,
Wtedy śmiało doń należeć,
Możesz przyjacielu.
Czwarta wspak naliczysz mnóstwo
W każdej armii świata —
Całość zwierzę: chodzi pływa,
Lecz w górę nie wzlata.

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb wstawić litery tak, aby w otrzymanych 19 wyrazach środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

Kombinacye.

	1	3	5	**17**	16	18	4	
		14	3	**5**	4	7		
			19	**4**	5			
		19	4	**18**	4	18		
	20	13	4	**8**	13	18	23	
14	5	4	21	**16**	12	21	14	16
9	15	5	15	**21**	2	13	8	4
	14	4	21	**2**	1	16	5	
		4	23	**15**	18	4		
			3	**14**	3			
		5	15	**14**	16	18		
	14	4	5	**4**	19	16	18	
15	21	11	4	**5**	8	15	23	4
19	22	10	4	**11**	15	21	2	23
	6	22	7	**16**	22	21	2	
		2	3	**12**	14	4		
			3	**21**	4			
		3	21	**14**	4	5		
	5	15	18	**16**	17	15	5	

Znaczenie wyrazów:

1. Trucizna.
2. Zwierzę morskie.
3. Miasteczko na Podolu.
4. Drzewo owocowe.
5. Kwiat.
6. Poeta polski.
7. Rzeka w Galicyi.
8. Nazwa tkaniny.
9. Bogini grecka.
10. Część twarzy.
11. Ryba morska.
12. Broń.
13. Roślina strączkowa.
14. Miasto na Węgrzech.
15. Imię męskie.
16. Zdrobniałe imię żeńskie.
17. Owad.
18. Król szwedzki.
19. Zwierzę.

Łamigłówka.

Ułożył W. K.

				a				
			a	a	a			
		a	a	a	a	a		
	a	b	b	d	d	e	g	
i	i	k	k	l	l	ł	m	n
				n				
		o	o	p	p	r		
		r	r	r	r	r		
			s	t	t			
				t				
			u	w	w			
		y	y	y	y	z		

W powyższej figurze uporządkować litery w ten sposób, aby poziome rzędy miały następujące znaczenia:

1. Spółgłoska.
2. Poeta polski.
3. Miasto w Belgii.
4. Góry.
5. Przylądek.
6. Spółgłoska.
7. Kapłanka.
8. Miasto w Galicyi.
9. Uzębienie zwierząt.
10. Samogłoska.
11. Imię żeńskie.
12. Dopływ Dunaju.

Środkowa linia, czytana z góry do dołu, utworzy znaczenie powyższej figury.

Problem mozajkowy.

Z sześciu kawałków, które stanowią obok podaną figurę, ułożyć kwadrat w ten sposób, ażeby litery leżące na obu jego przekątniach tworzyły imię męskie i żeńskie.

Ułożył M. Rawicz.

		E	
		E	
	A		N
			S
		T	
	A		
N			
E		H	
	L		
	F		

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya wspaniałe dzieło Stefana Żeromskiego p. t. „Popioły“.

Rozwiązania z Nru 27.

Logogryf: Wojciech Korfanty.

Szarada: Celina.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: St. Ciechanowski Stary Sambor, B. Ramółtowa Jeżów, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, R. Żabka Biała, A. Kotowicz Lwów, J. Zehnwirth Klimkówka, M. Ćwiąkalski Tarnopol, A. St. Bassara Niwiska, W. Kamiański Sokal, T. Domain Sanok, Ks. J. Halkiewicz Hołowice, Remiszewski Załawie, S. Samueli Limanowa, S. Stawiński Wierzchosławice, Czytelnia Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ w Kołaczycach, A. Janowski Bóbrka, J. Habermann Mikulińce, J. Badura Rożdzień, Fr. Josefert Kraków, R. Konopkowa Lwów, M. Sędzimirowa Krakowiec, J. Talaga Stale p. Tarnobrzeg, Kuszpeciński Kraków, M. Cetera Dubiecko. A. Góralski Kalinowszczyzna, M. Rożański Nowy Sącz, E. Byszewski Kraków, H. Mokrzycka Turbia, L. Przewoźniczek Sieniawa, K. Chodkiewicz Zbydniów, J. Biegoń Ślemień, J. Oleaczkówna Jordanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. St. Bassara w Niwiskach. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Od Administracyi.

Przypominamy Szan. Abonentom, że za każdą zmianę adresu należy przesłać administracyi 40 halerzy.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.